

## ROZDZIAŁ 6

### Globalizacja i „wielka ucieczka”

Po drugiej wojnie światowej nastąpiła największa „ucieczka” w dziejach ludzkości. Szybki wzrost gospodarczy w wielu krajach pozwolił setkom milionów ludzi wyrwać się z ubóstwa. Poziom życia rósł, umieralność spadała, ludzie żyli dłużej i byli zamożniejsi. Jak zawsze w historii, postęp nie przynosił wszystkim takich samych korzyści, niektóre najszybciej rozwijające się kraje zaczęły doganiać kraje najbogatsze, co jednocześnie zwiększyło dystans między nimi a tymi, które zostały w tyle. Biedne niegdyś kraje Azji przesunęły się bliżej środka skali, pozostawiając daleko w tyle wiele krajów Afryki.

Spadek umieralności, zwłaszcza wśród dzieci, sprawił, że liczba mieszkańców Ziemi zaczęła rosnać w tempie nieznanym dotychczas w historii ludzkości – nastąpiła prawdziwa eksplozja demograficzna. To, że mimo tak dużego wzrostu liczby ludności poziom ubóstwa na świecie spadał w latach 60. XX w., było dużym zaskoczeniem dla większości komentatorów, którzy uważali, że ta bomba demograficzna zagraża standardowi życia ludzi na całym świecie. Wielki ekonomista i laureat Nagrody Nobla, James Meade, zwykł był mawiać, że trzy największe katastrofy XX w. to wynalezienie piekielnego silnika spalinowego, eksplozja demograficzna i... Nagroda Nobla w dziedzinie ekonomii. Jeśli chodzi o eksplozję demograficzną, większość jego współczesnych zapewne by się zgodziła – do dziś często wzrost liczebności populacji uznaje się za poważne zagrożenie (podobnie zresztą jak piekielne silniki spalinowe). Chociaż w ciągu ostatniego pół wieku liczba ludności na świecie wzrosła o cztery miliardy, to jednak te siedem miliardów, które dziś żyją na Ziemi, statystycznie rzecz biorąc, mają znacznie lepsze życie niż ich rodzice i dziadkowie.

Oczywiście średnie i statystyki nie są pocieszeniem dla tych, którzy żyją w nędzy. Przekonaliśmy się, że średni wzrost gospodarczy w Stanach Zjednoczonych zdecydowanie nie wszystkim przyniósł jednakowe korzyści. Ale Stany Zjednoczone to nie jedyny kraj, w którym nierówności rosną, a choć znamy wyjątki, to wzrost nierówności dochodów jest dziś powszechnym doświadczeniem w wielu krajach na całym świecie. A co z nierównościami między krajami? Wiele niegdyś biednych krajów skorzystało na pozostawaniu w tyle: mogły skorzystać z wiedzy i technologii wypracowanej wcześniej przez kraje bogate. W ten sposób ci, którzy doganiali bogatszych od siebie, mogli niejako pójść na skróty, omijając długotrwały i kosztowny proces rozwoju metodą prób i błędów, który w przeszłości ograniczał ich rozwój. Takie kraje jak „azjatyckie tygrysy”: Hongkong, Singapur, Korea Południowa i Tajwan, a ostatnio także Chiny i Indie, weszły na drogę rozwoju gospodarczego o tempie wielokrotnie szybszym niż kiedykolwiek wcześniej. Niestety, efekty tego wzrostu nie były odczuwane wszędzie tak samo, a większość krajów, które pięćdziesiąt lat temu były biedne, nie potrafiła powtórzyć sukcesu Chin, Indii i „tygrysów”.

Może się to wydać zaskakujące, ale mimo osiągnięć tych szybko rozwijających się krajów nierówności dochodów między krajami niemal się nie zmniejszają; na każdy kraj doganiający czołówkę przypada inny kraj zostający w tyle. Rozrzut wysokości dochodów między krajami biednymi a bogatymi jest tak samo duży jak zawsze. Gdybyśmy uszeregowali kraje według średniego dochodu, od najbiedniejszych do najbogatszych, moglibyśmy porównać kraj, który znajduje się w jednej czwartej wysokości od dołu – a więc dosyć ubogi – z krajem znajdującym się w jednej czwartej wysokości od góry, czyli względnie bogatym. W roku 1960 w takim względnie bogatym kraju średni dochód był siedmiokrotnie wyższy niż w kraju względnie ubogim, w 2009 r. ten współczynnik wynosił już osiem i pół.

W tym rozdziale chcę ukazać bliżej ten powojenny cud – największą z „wielkich ucieczek” – i przeanalizować, jak do niego doszło, jak udało się zlikwidować dawne nierówności i jak powstały nowe. Przyjrzymy się uważnie liczbom i zadamy sobie pytanie, czy bezpiecznie jest im ufać. Globalne wskaźniki ubóstwa

i nierówności zawierają mnóstwo pułapek. Wiemy mniej niż powinniśmy wiedzieć, a na pewno mniej, niż można by się spodziewać, słuchając zalewu głośnych wypowiedzi i oświadczeń.

### Jak mierzyć świat

Zmierzenie materialnego dobrobytu nie jest proste – nawet **dochód**, a więc termin, którego używamy na co dzień, trudno jest precyzyjnie zdefiniować. Nasze szacunki ubóstwa i nierówności są tylko tak dokładne jak sposób mierzenia dochodu. Kiedy zaś staramy się porównywać różne kraje, robi się jeszcze trudniej. Ludzie dobrze wiedzą, jakich dochodów potrzebują, aby uniknąć biedy w społeczeństwie, w którym żyją. Nawet jeśli ustalona w danym kraju granica ubóstwa nie ujmuje dobrze tego, ile kosztuje życie w danej społeczności – nie wspominając już o różnicach opinii na temat potrzeb – możemy mieć nadzieję, że większość obywateli i decydentów jest w stanie wyznaczyć rozsądny poziom tej granicy, który oddzieli tych, którzy sobie radzą, od tych, którzy sobie nie radzą. Jeśli jednak chcemy oszacować poziom ubóstwa na całym świecie, musimy mieć jedną, konkretną granicę ubóstwa, która sprawdzi się w Nairobi i w Quito, w Karaczi i w Timbuktu, a nawet w Londynie i Canberze. W tym celu – podobnie jak w przypadku każdego porównania dochodów w różnych krajach – musimy umieć przeliczać wartości różnych walut, niestety, w tym przypadku oficjalne kursy walut okazują się bezużyteczne.

Dlatego też dobrym punktem wyjścia będzie zadanie sobie pytania, jak przeliczać jedną walutę na inną – np. dolary na rupie. Istnieją kursy walut zmieniające się każdego dnia, które informują nas, ile rupii możemy kupić na rynku za jednego dolara; w chwili, kiedy piszę te słowa, w kwietniu 2013 r., przelicznik ten wynosi 54,33 rupii za dolara. Jeśli więc polecę z Nowego Jorku do Delhi i pójdę do punktu wymiany walut, za każdego dolara dostanę ok. 50 rupii (albo nieco mniej, w zależności od tego, jaką prowizję pobiera bank). Kiedy jednak pójdę do miasta, szybko zorientuję się, że nawet w najdroższym hotelu za 50 rupii mogę kupić więcej niż za dolara w Nowym Jorku. Jeśli odwiedzę stołówkę uczelnianą

na Delhi School of Economics albo kupię jedzenie na ulicy – różnica będzie naprawdę ogromna.

Można to w prosty sposób podsumować, mówiąc, że poziom cen w Indiach jest niższy niż w Nowym Jorku; jeśli wymienimy pieniądze po kursie rynkowym, większość rzeczy w Indiach okaże się tańsza niż w Stanach Zjednoczonych. Według ostatnich szacunków poziom cen w Indiach wynosi ok. 40% poziomu cen w Stanach Zjednoczonych, co oznacza, że jeśli weźmiemy typowy zestaw towarów, które ludzie zwykle kupują, to w Indiach będzie on kosztował mniej więcej 40% tego, co w Stanach. Innymi słowy: w obu miejscach ceny byłyby takie same, gdyby kurs wymiany wynosił 20 rupii za dolara, a nie 50. Taki skorygowany kurs wymiany walut – który sprawiłby, że dolar będzie wart tyle samo w obu miejscach – zwany jest parytetem siły nabywczej, w skrócie PSN. PSN pozwala na takie przeliczenie dolarów na rupie, które w obu miejscach zapewni obu walutom taką samą siłę nabywczą. Jeśli poziom cen w Delhi jest niższy niż w Nowym Jorku – podobnie jak w przypadku większości uboższych krajów – to PSN będzie niższy niż oficjalny, bankowy kurs wymiany.

Skąd jednak znamy jego wartość? Nie istnieje przecież żaden rynek, na którym waluty zamieniane są na PSN – jedyną opcją jest po prostu sprawdzenie cen w poszczególnych miejscach. Międzynarodowe zespoły badaczy i statystyków zbierają miliony cen w poszczególnych krajach na całym świecie i uśredniają je, aby określić średni poziom cen w danym kraju. Pierwsze takie zestawienia dla sześciu krajów przygotował w połowie lat 70. XX w. zespół ekonomistów z University of Pennsylvania pod kierunkiem Irvinga Kravisa, Roberta Summersa i Alana Hestona – ten ostatni nadal prowadzi badania w tej dziedzinie i dzięki niemu dysponujemy wieloma danymi zaprezentowanymi w tej książce. Ci pionierzy zmienili sposób, w jaki ekonomiści postrzegają świat; bez ich pracy nie umielibyśmy porównać poziomu życia w różnych krajach<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Zob.: <https://pwt.sas.upenn.edu/icp.html> na stronie International Comparision of Prices Program (międzynarodowego programu porównywania cen). Program zbierania cen z różnych krajów prowadzony jest przez Bank Światowy; zob.: [http://siteresources.worldbank.org/ICPEXT/Resources/ICP\\_2011.html](http://siteresources.worldbank.org/ICPEXT/Resources/ICP_2011.html).

Jedną z pierwszych informacji, jakie udało się uzyskać z takich międzynarodowych porównań, jest fakt, że mój indyjski przykład nie jest odosobniony; poziom cen w krajach uboższych jest niższy niż w bogatych – i tym niższy, im biedniejszy jest dany kraj. Wielu ludziom taka konkluzja wydaje się zaskakująca. Jak to możliwe, że te same rzeczy w jednym miejscu są tańsze niż w innym? Jeśli, powiedzmy, stal czy benzyna w Delhi są tańsze niż w Nowym Jorku, dlaczego ktoś nie kupuje w Delhi i nie bogaci się, sprzedając w Nowym Jorku? To nie takie proste: różnice w cenach stali czy benzyny okażą się nieznaczące, jeśli weźmiemy pod uwagę koszty transportu, a także lokalne podatki i subwencje. Ale te argumenty nie dotyczą wszystkiego. Fakt, że wizyta u fryzjera w Delhi czy obiad w Bangkoku byłyby wyjątkową okazją dla nowojorkczyka, potencjalnemu handlarzowi w niczym nie pomoże, ponieważ te usługi oferowane są właśnie w Delhi i Bangkoku, a nie w Nowym Jorku, a przeniesienie ich z miejsca na miejsce nie jest możliwe. W krajach biednych ludzie są biedniejsi, więc usługi są tańsze, ale większość tych usług związana jest z danym miejscem.

Gdyby każdy mógł swobodnie migrować z jednego kraju do drugiego, płace w krajach bogatych szybko by spadły, a w krajach biednych – wzrosły i świat stałby się miejscem większej równości. Oczywiście sprzeciw wobec niższych płac w krajach bogatych jest podstawową przyczyną, dla której ludzie **nie mogą** swobodnie migrować – i dlatego strzyżenie czy posiłki w krajach biednych są takie tanie. Cen ziemi – podobnie jak cen pracy – nie można arbitralnie porównywać między krajami bogatymi a biednymi. Tanie mieszkania z Indii czy Afryki nie zostaną sprzedane po amerykańskich cenach, ponieważ nie da się przenieść przez ocean ziemi, na której je zbudowano. Tania ziemia i tania siła robocza w krajach biednych sprawiają, że poziom cen w tych krajach jest tak niski. Rynek tak ustala kurs wymiany walut, aby wyrównać ceny stali, benzyny, samochodów czy komputerów – czyli tego wszystkiego, co może być i jest przedmiotem handlu międzynarodowego, ale poziom cen zależy głównie od towarów i usług, których nie da się sprzedać za granicę.

Skoro ceny w krajach ubogich są niższe, to sięgając po rynkowe kursy walut nie możemy poprawnie ocenić różnic kosztów życia. To błąd, który często popełniają dziennikarze, ale ekonomiści

także czasami o tym zapominają. Wiosną 2011 r. rząd Indii argumentował (niemądrze i małodusznie) przed indyjskim Sądem Najwyższym, że 26 rupii dziennie to wystarczająca suma, aby uniknąć nędzy, przynajmniej w przypadku osób mieszkających poza miastem. Wywołało to ogromne oburzenie, a indyjskie (i międzynarodowe) media zauważyły, że nawet Bank Światowy – którego większość Hindusów nie postrzega raczej jako instytucji życzliwej... – za granicę ubóstwa uważa sumę 1,25 dolara, co przy kursie 53 rupii za dolara daje sumę ponad dwukrotnie większą. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę parytet siły nabywczej (PSN), według którego 1 dolar to równowartość 20 rupii, wówczas granica ubóstwa według Banku Światowego wyniesie 25 rupii dziennie – czyli mniej więcej tyle, ile sugerowali przedstawiciele indyjskiego rządu. Nawet „Financial Times” przeliczał dolary na rupie po kursie rynkowym – dziennikarz napisał, że granica ubóstwa według rządu Indii wynosi 0,52 dolara, podczas gdy ta sama granica według Banku Światowego to 1,25 dolara.

Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (United Nations Development Programme – UNDP) popełniał taki sam błąd przez wiele lat, narażając się na oskarżenia o celowe zawyżanie skali ubóstwa w krajach najbiedniejszych. Kiedy czytamy o poziomie życia w krajach biednych – czy to mowa o płacach, czy o kosztach wizyty u lekarza, cenach żywności bądź transportu – i przeliczamy waluty po kursie rynkowym, wyniki zawsze będą dwu- lub trzykrotnie za niskie. Płace w tych krajach są oczywiście bardzo niskie – co jest po prostu jeszcze jedną formą stwierdzenia, że mamy do czynienia z biednymi krajami – ale niczemu nie służy wyolbrzymianie tego, jak biedni są ich mieszkańcy w stosunku do mieszkańców krajów bogatych.

Kiedy porównujemy poziom życia w różnych krajach świata albo kiedy chcemy szacować poziom ubóstwa lub nierówności na świecie, wtedy jedyną poprawną wartością kursu walut jest PSN. Najważniejsza jest tu fraza „w różnych krajach świata”; jeśli bowiem chcemy porównywać zarobki ludzi w jednym kraju, aby oszacować występujące w nim nierówności – tak jak robiliśmy to w rozdziale 5, analizując sytuację w Stanach Zjednoczonych – wówczas rozsądnym rozwiązaniem jest właśnie niebranie pod uwagę różnic w cenach między poszczególnymi rejonami.

Choć oczywiście życie w stanach Kansas czy Missisipi jest tańsze niż w Nowym Jorku, należy pamiętać, że mieszkanie w wielkim mieście wiąże się z licznymi udogodnieniami. Skoro ludzie mogą całkowicie swobodnie wybierać miejsce zamieszkania, wyższe ceny w mieście są wręcz rozsądnym wskaźnikiem dostępności tych udogodnień. Biorąc to pod uwagę, możemy porównywać dochody bez konieczności uwzględniania różnic cen; lepiej zarabiający mieszkańcy Manhattanu w Nowym Jorku rzeczywiście żyją w większym dobrobycie niż mniej zarabiający mieszkańcy miasta Manhattan w stanie Kansas. Sprawy mają się zupełnie inaczej, kiedy porównujemy Stany Zjednoczone z Indiami czy Francją z Senegalem, ponieważ ludzie nie mogą swobodnie wybierać, w którym z tych krajów chcą mieszkać. Nawet jeśli życie w Ameryce niesie ze sobą więcej udogodnień niż życie w Indiach – a nie wiem, czy rzeczywiście tak jest – nie można zakładać, że porównanie poziomów cen w Ameryce i w Indiach odzwierciedla te różnice. Jeśli więc, chcąc oszacować nierówności panujące na świecie, porównujemy dochody Hindusów i Amerykanów, musimy porównywać ceny, korzystając z przelicznika związanego z parytetem siły nabywczej.

PSN to znacznie lepsze porównanie kosztów życia niż rynkowe kursy walut – ale ta metoda także nie jest doskonała. Poziomy cen obliczane są na podstawie zbieranych w poszczególnych krajach informacji o cenach porównywalnych produktów czy usług – może to być kilogram ryżu czy zrobienie fryzury w Hanoi, Londynie czy São Paulo. Problem polega na tym, że nie wszystko można łatwo wycenić. Jak określimy cenę domostwa, które biedna rodzina sama sobie zbudowała na wsi, albo budy postawionej w slumsach? Rynek wynajmu takich nieruchomości *de facto* nie istnieje – podobnie zresztą, jak w przypadku wielu rodzajów obiektów mieszkalnych w krajach bogatych. W Stanach Zjednoczonych, z kolei, trudno jest wycenić wartość usług świadczonych przez państwo, takich jak choćby program Medicare; jeszcze trudniej dokonać takiej wyceny w sposób konsekwentny dla wszystkich krajów, aby mieć pewność, że zestawia się ze sobą rzeczy porównywalne. Wiele rzeczy, na które ludzie wydają pieniądze, nie ma swoich cen rynkowych – musimy wówczas szacować ich przybliżoną wartość, co oczywiście jest rozsądne, ale nie zawsze dokładne. Wszystkie

te zastrzeżenia nie oznaczają, że lepiej byłoby używać rynkowego kursu walut – a jedynie to, że posługiwanie się właściwą metodą, czyli oparcie się na PSN, także obarczone jest nieuniknioną dozą niepewności.

Pomyślmy przez chwilę o zbieraniu danych na temat cen porównywalnych produktów w różnych krajach. Weźmy np. męskie koszule. W Stanach Zjednoczonych będzie to, powiedzmy, klasyczna, zapinana na guziki koszula z długimi rękawami, znanej marki, takiej jak choćby Brooks Brothers. Jeśli zechcemy porównać ją z męską koszulą w Boliwii, Demokratycznej Republice Konga czy na Filipinach, staniemy przed wyborem dwóch równie niezadowolających opcji. Standardowa koszula w tych krajach to towar zdecydowanie tańszy i niższej jakości niż koszula marki Brooks Brothers – jeśli więc weźmiemy pod uwagę jej cenę, to w rzeczywistości nie porównujemy cen produktów tego samego typu i **zaniżamy** ceny w krajach biednych w porównaniu z cenami w krajach bogatych. Alternatywą będzie poszukanie w tych krajach koszuli marki Brooks Brothers, co nie będzie łatwe, ale może się udać, jeśli sprawdzimy najelegantsze sklepy w stolicach. Niesie to jednak ze sobą ryzyko przeciwnego błędu: znajdziemy szukaną koszulę, ale tylko w bardzo wyspecjalizowanym i siłą rzeczy bardzo drogim sklepie, którego klientami jest niewielka grupa najbogatszych. Jeśli tak postąpimy, to **zawyżymy** ceny w kraju ubogim – w każdym razie z punktu widzenia zwykłych ludzi. Mamy zatem do czynienia z nieustannym zderzeniem dwóch przeciwstawnych celów: jednym jest zbieranie cen wyłącznie tych produktów, które są naprawdę porównywalne, drugim – zbieranie cen produktów, które są naprawdę reprezentatywne dla rzeczywistych zakupów w danym kraju. W skrajnych przypadkach okazuje się, że porównania są w zasadzie niemożliwe, jeśli coś, co jest ważne i powszechnie używane w jednym kraju w ogóle nie istnieje w drugim. Miłka abisyńska (znana też jako tef) to podstawowe ziarno jadalne w Etiopii, ale rzadko używane gdziekolwiek indziej; tofu jest ważnym produktem w Indonezji, ale nie w Indiach; alkohol nie jest dostępny w sprzedaży w wielu krajach muzułmańskich.

Nawet jeśli wszystkie ceny są łatwo dostępne, musimy pamiętać, że w różnych krajach ludzie wydają pieniądze na różne rzeczy w innych proporcjach. Przykład takiego problemu zna każdy, kto

– tak jak ja – wychował się w Wielkiej Brytanii, a teraz mieszka gdzie indziej. Jednym z podstawowych produktów w domu każdego Brytyjczyka jest Marmite: słony (bardzo słony!) wyciąg z drożdży, stanowiący produkt uboczny warzenia piwa. W Wielkiej Brytanii Marmite jest tani i bardzo popularny, sprzedawany w dużych, ciemnych słoikach. Produkt ten jest łatwo definiowalny, toteż jego ceny w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych można bez trudu porównać. Jeśli jednak porównamy realne koszty tego, ile Marmite kupuje Brytyjczyk, to Stany Zjednoczone okażą się bardzo drogim krajem. Jeśli z kolei weźmiemy pod uwagę produkty, które często kupują Amerykanie – takie jak krakersy z razowej mąki czy Burbon, które w Wielkiej Brytanii są rzadko spotykane i dość kosztowne – to właśnie Wielka Brytania okaże się bardzo droga.

Dla porównań między bogatymi krajami, takimi jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, nie ma w gruncie rzeczy większego znaczenia, czy jako podstawy użyjemy towarów i usług amerykańskich czy brytyjskich, ale przykład z Marmite jest ilustracją pewnego podstawowego problemu, który wpływa na wszystkie międzynarodowe porównania cen. W każdym kraju ludzie mają tendencję do kupowania większej ilości dóbr, które są w tym kraju stosunkowo tanie, i mniejszej ilości stosunkowo drogich, dlatego szacowanie kosztów życia za granicą na podstawie produktów najbardziej popularnych w ojczyźnie prowadzi do przeszacowania. Dopiero wykorzystując „koszyk” produktów podstawowych dla konkretnego kraju, możemy poprawnie oszacować koszty życia w tym kraju. W praktyce statystycy zwykle uśredniają te różnice i biorą pod uwagę uzyskaną średnią.

Takie rozwiązanie wydaje się rozsądne, ale nie usuwa całkowicie problemu – doskonałym przykładem jest niedawna sytuacja, w której statystycy porównywali ceny w Wielkiej Brytanii z cenami w zachodnioafrykańskim Kamerunie. W Kamerunie – podobnie jak w większej części Afryki – podróże lotnicze są bardzo drogie i korzysta nich bardzo mało ludzi. W Wielkiej Brytanii latanie jest tanie i nawet stosunkowo niezamożni ludzie mogą sobie pozwolić na zagraniczne wakacje, na które lecą samolotem. Gdyby zatem wycenić to, co robią Brytyjczycy, według cen z Kamerunu, okazałoby się, że Kamerun jest bardzo drogim krajem. Uśrednienie może

tu być pomocne, ale niezależnie od tego, jaką metodę przyjmujemy, cena podróży lotniczych będzie miała znaczący wpływ na PSN Kamerunu (jeśli pominiemy podróże lotnicze, poziom cen w tym kraju będzie niższy o 2–3%) – nawet zważywszy, że w Kamerunie niemal nikt nie lata samolotem. To jeden z podstawowych problemów międzynarodowych porównań cen – zależą one także od takich właśnie spraw, które realnie nie mają żadnego znaczenia. Problem polega na tym, że różnice między Kamerunem a Wielką Brytanią są znacznie większe niż między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi.

Tymczasem porównanie Kamerunu i Wielkiej Brytanii to jeszcze stosunkowo prosta sprawa – naprawdę trudne okazuje się być porównanie Stanów Zjednoczonych z Chinami. Według najnowszych szacunków Banku Światowego w 2011 r. PKB *per capita* Chin wynosił 5445 dolarów, podczas gdy PKB *per capita* Stanów Zjednoczonych – 48 112 dolarów, czyli niemal dziewięciokrotnie więcej. Ale te obliczenia oparte są na rynkowych kursach walut i nie biorą pod uwagę tego, że wysokość cen w Chinach to mniej więcej dwie trzecie poziomu cen w Stanach Zjednoczonych. Jeśli weźmiemy pod uwagę parytet siły nabywczej, to PKB *per capita* w Chinach wyniesie 8400 dolarów, co oznacza, że przy kursach walut opartych na PSN – co jest lepszą metodą porównywania poziomu życia – Stany Zjednoczone mają PKB *per capita* wyższy już tylko 5,7 razy. Są jednak ludzie, których interesuje bezwzględna wielkość gospodarki: wojskowi czy dyplomaci uznają, że znaczenie danego kraju na świecie zależy od **całości** jego zasobów; w takiej sytuacji musimy użyć wskaźnika 4,31, wyrażającego stosunek liczby ludności Chin do liczby ludności Stanów Zjednoczonych. Ogółem więc rozmiary gospodarki chińskiej to trzy czwarte rozmiarów gospodarki amerykańskiej. Jeśli zaś pamiętamy o tym, że gospodarka Chin rośnie znacznie szybciej niż gospodarka amerykańska – o tym napiszę w dalszej części rozdziału – możemy oczekiwać, że w stosunkowo niedalekiej przyszłości Chiny wyprzedzą Stany Zjednoczone. Jeśli stopa wzrostu gospodarczego Chin będzie o 5 punktów procentowych większa niż stopa wzrostu gospodarczego Stanów Zjednoczonych, wówczas wystarczy na to sześć lat.

Liczby podane w poprzednim akapicie traktują kurs walut wynikający z PSN w taki sposób, jakbyśmy mogli ustalić go równie

precyzyjnie, jak kurs rynkowy. Kiedy jednak weźmiemy pod uwagę kwestię Marmite czy kwestię podróży lotniczych w Kamerunie, a także brak pewności, czy dokonywane przez nas porównania są reprezentatywne i dotyczą rzeczy porównywalnych, możemy mieć wątpliwości, czy prawdziwy kurs wynikający z PSN nie powinien być wyższy albo niższy. Wspólnie z Alanem Hestonem stwierdziliśmy, że kiedy zdamy sobie sprawę z problemu Marmite – albo, mówiąc bardziej precyzyjnie, kiedy dojdziemy do wniosku, że możemy wyciągnąć średnią z dwóch zestawów cen chińskiego i amerykańskiego „koszyka” produktów – to na obu krańcach PSN istnieje ok. 25-procentowy margines błędu [Deaton, Heston, 2010, s. 1–35]. Możemy zatem powiedzieć tylko, że chiński dochód *per capita* mierzony w dolarach międzynarodowych w 2011 r. wyniósł od 13 do 22% dochodu *per capita* Stanów Zjednoczonych. Całkowita wartość gospodarki Chin mieści się zaś między 56 a 94% całkowitej wartości gospodarki Stanów Zjednoczonych. Chociaż uśrednienie tej różnicy wydaje się być wygodną metodą – choćby dlatego, że nie chcemy pracować na tak szerokim wachlarzu możliwości – to trzeba pamiętać, że takie uśrednienie jest dość arbitralną metodą poradzenia sobie z problemem, który w rzeczywistości nie ma prostego i w pełni zadowalającego rozwiązania.

Przypadek Chin jest wyjątkowy – wiąże się z nim jeszcze wiele innych problemów, których tu nie poruszam. Najważniejszym z nich wydaje się prowadzona od dawna – i wciąż nierozstrzygnięta – dyskusja o tym, czy tak wysoka oficjalna stopa wzrostu gospodarczego Chin jest wiarygodna, a jeśli – jak sądzi wielu naukowców – nie jest, to o ile należałoby ją obniżyć, aby otrzymać wiarygodne dane.

Nie chciałbym, aby czytelnik odniósł wrażenie, że takie międzynarodowe porównania w ogóle nie są możliwe albo że zawsze trzeba w nich uwzględnić szeroki margines błędu. W 1949 r. mój ówczesny mentor na uniwersytecie w Cambridge, John Stone, zapytał: „Dlaczego chcemy porównywać Stany Zjednoczone np. z Indiami czy Chinami? Co jest w tym dla nas tak interesujące? Każdy wie, że jeden kraj jest – w kategoriach ekonomicznych – bardzo bogaty, a drugi bardzo biedny; czy to rzeczywiście ważne, czy ten pierwszy jest bogatszy trzydzieści razy, czy

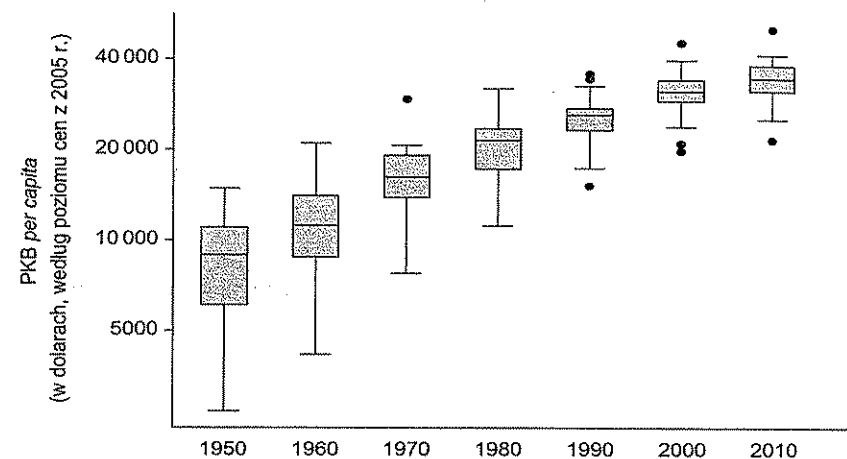
pięćdziesiąt...?” [Gilbert, Clark, Stone i in., 1949, s. 261]. Dziś zarówno Chiny, jak i Indie są już znacznie bogatszymi krajami, niż były w 1949 r., a media – nie wspominając już o Pentagonie czy Departamencie Stanu – od dawna interesują się tym, czy chińska gospodarka wyprzedziła już amerykańską. Nastąpił także ogromny postęp w dziedzinie gromadzenia danych i w ogóle w sposobie myślenia, dlatego dziś mamy już jakieś pojęcie ile razy bogatszy może być jeden kraj w stosunku do innego. Pewna doza niepewności wciąż jednak pozostaje, zwłaszcza kiedy porównujemy kraje bogate z biednymi, takimi jak Chiny czy Indie, albo (tym bardziej) kraje afrykańskie. Jeśli chodzi o kraje bogate, których struktury gospodarcze są do siebie stosunkowo podobne, te niepewności są znacznie mniejsze, a porównania można traktować z większym zaufaniem. Dla takich krajów, jak Kanada, Stany Zjednoczone czy państwa Europy Zachodniej, rynkowy kurs wymiany walut jest dość zbliżony do kursu wynikającego z PSN, toteż porównując je, stoimy na pewnym gruncie.

### Globalny wzrost gospodarczy

Od zakończenia drugiej wojny światowej, która pograżyła większość krajów Europy w gospodarczym i społecznym chaosie, bogatsze kraje świata szybko się rozwijały – początkowo odbudowując to, co zostało zniszczone, a później przyspieszając w drodze do nowego poziomu dobrobytu. Zbliżyły się także do siebie nawzajem – różnice między nimi są obecnie bardzo niewielkie, jeśli porównać je z różnicami między grupą krajów najbogatszych a resztą świata. Rysunek 6.1 pokazuje, jak zmieniał się dochód narodowy dwudziestu jeden najbogatszych krajów (kwoty podane są z uwzględnieniem zmieniających się cen). Choć takie pomiary nigdy nie są stuprocentowo dokładne, to użyte dane są precyzyjne, a kursy walut według PSN dla tych krajów – dosyć wiarygodne. Wykres pudełkowy jest tu interpretowany tak samo, jak na rysunku 4.4. Dolne i górne granice „pudełek” oznaczają pozycje górnej i dolnej jednej czwartej tych krajów, co oznacza, że każde „pudełko” mieści w sobie połowę wszystkich krajów, a przecinająca je pozioma linia wyznacza średnią. „Antenki”

obejmujące wszystkie kraje (poza przypadkami skrajnymi), pozwalają ocenić rozrzut danych, a czarne kropki oznaczają właśnie przypadki skrajne.

RYSUNEK 6.1. PKB per capita 24 bogatych krajów (Australii, Austrii, Belgii, Danii, Finlandii, Francji, Grecji, Hiszpanii, Holandii, Irlandii, Islandii, Japonii, Kanady, Luksemburga, Niemiec, Norwegii, Nowej Zelandii, Portugalii, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii, Szwecji, Turcji, Wielkiej Brytanii i Włoch)



Wykres pokazuje, że inne bogate kraje także doświadczają spowolnienia wzrostu gospodarczego, który już analizowaliśmy w przypadku Stanów Zjednoczonych. Dekada lat 60. XX w. była pod tym względem najlepszym okresem po wojnie – średnia stopa wzrostu gospodarczego wynosiła ponad 4% rocznie, co oznaczało wzrost dochodów o połowę w ciągu dziesięciu lat. W latach 70. wzrost gospodarczy wynosił już 2,5% rocznie, w latach 80. i 90. – 2,2% rocznie, a w pierwszej dekadzie XXI w. – już tylko niecały 1% rocznie. Wielkość tego spowolnienia jest nieco przerysowana, z jednej strony bardzo szybkim tempem wzrostu po wojnie (który nie mógł być utrzymany, kiedy zasadnicza część odbudowy i napraw została już dokonana), z drugiej – kryzysem finansowym z 2008 r. Naprawa zniszczeń, choć trudna, jest łatwiejsza niż próby „przebicia”



poziomu dochodów, który nigdy wcześniej nie został osiągnięty; po wojnie ludzie pamiętali, jak sprawy miały się wcześniej, a technologię trzeba było raczej odtworzyć, niż tworzyć od zera. Kiedy skończył się okres odbudowy, wzrost gospodarczy zaczął być uzależniony od wynajdowania nowych sposobów działania i wprowadzania ich w życie – a wkraczanie na nowe tereny zawsze jest trudniejsze niż wędrówka po utartych szlakach. Oczywiście w świecie swobodnego przepływu informacji wszelkie innowacje mogą łatwo przenosić się między krajami – zwłaszcza między podobnymi krajami – dzięki czemu ciężar innowacji zostaje bardziej równomiernie rozłożony. Istnienie tych wzajemnych, światowych powiązań także samo z siebie przyspiesza wzrost gospodarczy.

Globalizacja redukuje koszty przenoszenia dóbr i informacji między krajami. Pozwala na to, aby dobra były produkowane – a coraz częściej także usługi były świadczone – tam, gdzie można to robić najbardziej wydajnie i najtaniej. Pozwala także na to, aby odkrycie dokonane w jednym miejscu było szybko wykorzystane w innym. Tak jak było w przypadku nowych kuracji czy wiedzy medycznej – np. wiedzy na temat wpływu palenia na zdrowie czy leków redukujących poziom cholesterolu i obniżających ciśnienie krwi – odkrycia pomagające podnosić poziom życia szybko przekraczały granice, dzięki czemu kraje bogate upodabniały się do siebie zarówno pod względem dochodów, jak i zdrowia. Dobrze funkcjonujące instytucje polityczne, medyczne i ekonomiczne pozwalały na sprawne (choć w różnym tempie) wprowadzanie tych zmian w życie, co doprowadziło do widocznej zbieżności w poziomie średnich dochodów, nawet jeśli tempo wzrostu w ostatnich czasach nieco spadło. W przypadku bogatych krajów nowe technologie **redukuja** nierówności dochodów, podobnie zresztą jak nierówności zdrowotne.

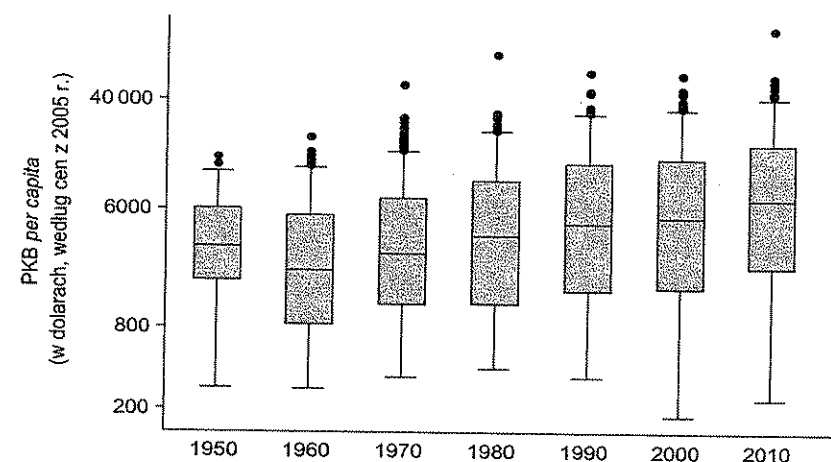
Zbieżność w poziomie **średnich** dochodów między tymi krajami niewiele mówi nam o tym, co dzieje się **wewnątrz** nich. Mieliśmy już okazję przekonać się, że w jednym kraju – w Stanach Zjednoczonych – wzrost średnich dochodów nie rozkłada się równo na całą populację. To, że poziom dochodów w różnych krajach jest podobny, nie oznacza, że także wszyscy obywatele zamożnej części świata mają coraz bardziej zbliżone dochody. Wyobraźmy sobie dwie wielkie grupy ludzi, które kiedyś były od siebie oddzielone,

a teraz miesza się ze sobą. Jeśli członkowie każdej z tych grup coraz bardziej różnią się między sobą, to te wewnętrzne różnice mogą skompensować, a nawet przewyższyć efekty łączenia się grup. Jeśli spojrzymy całościowo, nie zwracając uwagi na to, kto pochodzi z jakiego kraju, może się okazać, że rozrzut dochodów wzrasta. Wróć do tej kwestii, kiedy będę analizował nierówności w skali całego świata.

Świat, w którym występuje wzrost gospodarczy, a różnice między krajami się zmniejszają, to świat, który znamy najlepiej – w każdym razie, jeśli żyjemy w bogatszej części tego świata i urodziliśmy się po 1945 r. Wysoki poziom życia jest dla nas rzeczą normalną, a dalszy wzrost wydaje nam się oczywisty. Różnice w dochodach i poziomie zdrowia między krajami znacząco się zmniejszyły; podróżowanie jest szybsze, tańsze i prostsze; wiedza jest dostępna na wyciągnięcie ręki.

Niestety, reszta świata nie wygląda tak samo. Rysunek 6.2 przypomina rysunek 6.1, ale obejmuje **wszystkie** kraje świata, zarówno bogate, jak i biedne. Oczywiście jest, że jeśli uwzględnimy także kraje ubogie, to zakres średnich dochodów będzie znacznie większy; „pudełka” są wyższe, a „antenki” nie mają większego

RYСУNEK 6.2. PKB per capita wszystkich krajów świata





zasięgu. Wykorzystane dane nie są tak pełne i wiarygodne, a błędy pomiaru mogą oznaczać, że rozrzut dochodów wydaje się większy, niż jest w rzeczywistości. Co ciekawe (i mniej oczywiste) okazuje się, że kiedy bierzemy pod uwagę wszystkie kraje, to rozrzut średnich dochodów – a więc miara nierówności dochodów między krajami – **nie zmniejsza się** z czasem. „Pudełko” oznaczające rok 1950 możemy na razie zignorować: dla wielu krajów nie ma z tego okresu danych – najczęściej właśnie dla krajów najbiedniejszych, dlatego „pudełko” umieszczone jest zbyt wysoko i jest zbyt niskie. Po 1950 r. różnice między krajami wyznaczającymi górną jedną czwartą i dolną jedną czwartą skali dochodów – czyli między górną a dolną linią „pudełka” – pozostają z grubsza takie same, a jeśli zwrócimy uwagę na dolne „antenki”, przekonamy się, że rozrzut dochodów wzrósł, zwłaszcza w grupie krajów najbiedniejszych.

Konwergencja średnich dochodów w grupie krajów bogatych nie dziwi – tego właśnie można oczekiwać, jeśli motorem rozwoju są nowe idee i nowe sposoby działania, a te nowe idee szybko przekraczają granice między krajami. Tym, co jest bardziej zastanawiające, jest fakt, że krajom biedniejszym nie udaje się doganiać tych bogatych, co sprawia, że rysunek 6.2 tak bardzo różni się od rysunku 6.1. Przecież technologia i wiedza leżące u podstaw wysokiego poziomu życia w krajach bogatych są dziś dostępne także w krajach biednych! Oczywiście sam fakt posiadania pewnej wiedzy nie oznacza automatycznie równego poziomu życia. Aby móc wykorzystać pochodzące z bogatych krajów metody produkcji, potrzebna jest funkcjonująca w krajach bogatych infrastruktura – drogi, koleje, telekomunikacja, fabryki, maszyny – nie wspominając już o poziomie edukacji: osiągnięcie tego wszystkiego wymaga czasu i pieniędzy. Nierówności między bogatymi a biednymi powinny jednak stanowić mocną motywację do inwestowania w tę infrastrukturę i sprzęt, a co za tym idzie – jak napisał Robert Solow w jednym z najświetniejszych tekstów w historii ekonomii – średni poziom życia powinien się z czasem wyrównywać [Solow, 1956, s. 65–74]. Dlaczego tak się nie dzieje – oto najważniejsze pytanie w ekonomii. Być może najlepszą odpowiedzią jest stwierdzenie, że w krajach biednych brakuje **instytucji** – kompetentnych rządów, dobrze działającego systemu prawnego i podatkowego, zabezpieczenia praw własności,

tradycji zaufania – które są niezbędne do tego, aby następował wzrost gospodarczy.

Stopy wzrostu w krajach biednych nie są niższe – a bywają nawet wyższe – niż w krajach bogatych. Tymczasem, choć niektóre z tych krajów rozwijają się szybko i są na dobrej drodze do dogonienia tych bogatszych, inne wciąż pozostają daleko w tyle. **Nierówności** wzrostu gospodarczego w krajach biednych są dużo większe niż w bogatych. Niektóre kraje zdołały wykorzystać możliwości i ruszyć do przodu. Grupa krajów azjatyckich – Chiny, Hongkong, Korea Południowa, Malezja, Singapur, Tajlandia i Tajwan – podobnie jak jedno państwo afrykańskie, Botswana – w latach 1960–2010 rosła w tempie 4% rocznie, co oznacza **ponad siedmiokrotny** wzrost średniego dochodu w ciągu pół wieku. W tym samym czasie Demokratyczna Republika Konga, Republika Środkowoafrykańska, Gwinea, Haiti, Madagaskar, Nikaragua i Niger stały się **biedniejsze**, niż były pięćdziesiąt lat temu. Do tej grupy zresztą prawie na pewno należą także inne kraje, w przypadku których nie mamy wystarczającej liczby danych (mówię między innymi o Afganistanie, Dżibuti, Liberii, Sierra Leone i Somalii, ale także o kilku krajach, które w 1960 r. były częścią ówczesnego Bloku Wschodniego). Szybki wzrost tych krajów, które odniosły sukces, powinien spowodować zmniejszenie się różnic w dochodach między krajami, ale te kraje, które poniosły porażkę, zahamowały ten proces, sprawiając, że ostatecznie nierówności się nie zmniejszyły.

Dwa przykłady krajów o szybko rosnącej gospodarce to Chiny i Singapur – tyle że te pierwsze mają ponad trzysta razy więcej mieszkańców. Indie, kolejny gigant, nie nabrały rozpędu tak szybko jak Chiny ani nie rosą w równie szybkim tempie, co nie zmienia faktu, że od 1990 r. ich wzrost gospodarczy jest dwukrotnie wyższy od średniej światowej. Choć Chiny i Indie to tylko dwa kraje, dzięki zachodzącym w nich zmianom ok. 40% światowej populacji pod koniec XX w. żyło w krajach rozwijających się bardzo szybko. Z kolei na „gorszym” krańcu kontinuum wzrostu gospodarczego znajdują się kraje, których gospodarka nie rośnie albo wręcz się zmniejsza. W większości przypadków są to kraje małe (choć są wyjątki, takie jak Demokratyczna Republika Konga, która jest krajem dużym i pozostającym w wyjątkowo złej sytuacji).

Jeśli spojrzymy na kwestie wzrostu gospodarczego globalnie – nie na to, ile krajów szybko się rozwija, ale ilu ludzi na świecie doświadcza wzrostu gospodarczego – obraz wygląda bardziej optymistycznie. W ciągu pół wieku od roku 1960 gospodarka statystycznego kraju rosła w tempie 1,5% rocznie, ale statystyczny człowiek doświadczał wzrostu o 3% rocznie. Gospodarki Chin i Indii, gdzie żyje ogromna liczba ludzi, rosną bowiem szybciej, niż sugerowałaby światowa średnia.

Aby lepiej zrozumieć, jak wygląda sytuacja, wyobraźmy sobie ogromny tłum ludzi – całą światową populację – z których każdy trzyma w ręku flagę swojego kraju, tak jakby wszyscy szli w ogromnej parady otwierającej igrzyska olimpijskie. Wyobraźmy sobie, że ludzie ci idą w tempie, które odpowiada tempu wzrostu ich dochodów: Hindusi i Chińczycy biegną, podczas gdy niektórzy – np. Kongijczycy i Haitańczycy – się cofają. Jeśli przyjrzymy się temu tłumowi, zobaczymy, że dwie piąte wszystkich flag – te należące do Chin i Indii – miarowo przebija się przez resztę tłumu do przodu; zaczęły z tyłu (oba kraje w 1960 r. były bardzo biedne) i jeszcze nie doszły na czoło parady (flagi krajów Europy i Ameryki Północnej wciąż są daleko przed nimi), ale są obecnie w okolicach środka tłumu. Oczywiście nie wszyscy ludzie dzierżący te flagi idą w równym tempie; jeśli przyjrzymy się bliżej, zobaczymy, że niektórzy Hindusi idą szybciej niż inni Hindusi, także niektórzy Chińczycy wyprzedzają innych swoich rodaków. Nie zmienia to faktu, że szybki średni wzrost w obu tych krajach pozwolił milionom ludzi uciec przed nędzą. Chociaż więc różnice między krajami wciąż nie maleją, to szybkie przemieszczanie się Hindusów i Chińczyków w stronę środka parady sprawia, że cały tłum – populacja świata – ma możliwość zbliżenia się do siebie.

Kiedy mówimy o ważnych sprawach, takich jak nierówności dochodów między ludźmi na całym świecie, słowo **możliwość** wydaje się być po prostu wymówką. Czy nie możemy być bardziej dokładni? Problem – podkreślam raz jeszcze – polega na tym, że nie mamy pewności co do kilku podstawowych informacji. Jedną z najważniejszych jest stopa wzrostu gospodarczego Chin. Istnieje ogromna specjalistyczna literatura zawierająca próby rozwiązania nieprzeniknionej zagadki: chińskiego systemu rachunków narodowych. Większość autorów zgadza się, że oficjalne statystyki

są zawyżone – nie wiadomo jednak, o ile [Maddison, Wu, 2008, s. 13–44]. Brak nam także precyzyjnego oszacowania kursu wymiany walut, opartego na parytecie siły nabywczej; chiński PSN (podobnie jak kilka innych) jest bardzo niepewny, a władze Chin nie uczestniczą w programach zbierania danych o cenach. Gdyby nierówności na świecie rosły albo malały w bardzo szybkim tempie, ten brak pewności co do dokładności pomiarów nie miałby większego znaczenia. W takiej sytuacji, z jaką mamy do czynienia, wielu rzeczy po prostu nie wiemy.

Dwa najludniejsze kraje na świecie znalazły się zatem wśród tych, które odnoszą sukces – w każdym razie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Czy jest tak **właśnie dlatego**, że są tak ludne, czy może to przypadek? Inne duże kraje także zwykle radzą sobie lepiej od światowej średniej (przynajmniej w pewnych okresach), choć żadne z nich nie dorównuje tempu od dłuższego czasu utrzymywanemu przez Chiny. Dobrymi przykładami są Brazylia, Indonezja, Japonia, Rosja i Stany Zjednoczone. Kraje grupy „BRIC” (Brazylia, Rosja, Indie i Chiny) na pewno odnoszą pewne korzyści ze swoich rozmiarów. Korpus dyplomatyczny, kompetentni urzędnicy, grupka dobrze przygotowanych przywódców i kadra akademicka ze światowej klasy uniwersytetów: trudno zaspokoić wszystkie te potrzeby, mając do dyspozycji tylko niewielką liczbę odpowiednio dobranych ludzi – duże kraje mają większą populację, z której mogą wybierać. Jeśli odkrycia naukowe albo – co bardziej istotne w przypadku krajów biedniejszych – umiejętność zaadaptowania starej wiedzy do nowych sytuacji zależy od bezwzględnej liczby naukowców i badaczy, to kraj o większej populacji zawsze będzie miał przewagę.

Pewien wybitny fizyk zapytał mnie kiedyś, nad czym pracuję – odparłem, że nad miarą poziomu ubóstwa na świecie. „To ciekawe” – odpowiedział. „Jakie kraje pan bada?”. Kiedy powiedziałem, że głównie Indie, odparł, że gadam bzdury: przecież Indie to jeden z najlepiej rozwiniętych krajów na świecie! Rzeczywiście: jeśli policzymy naukowców, a nie dochód *per capita* czy liczbę osób żyjących poniżej progu ubóstwa, to fizyk ów miał rację, a jeśli skutki uboczne uprawiania nauki przynoszą korzyści wszystkim obywatelom, to rzeczywiście większe kraje są w lepszej sytuacji. Czy jednak skala tej przewagi jest wystarczająca, aby przyspieszyć

wzrost gospodarczy, czy też duże kraje rozwijają się szybciej z innych przyczyn – to kwestia otwarta.

Dlaczego niektóre kraje rozwijają się bardzo szybko, a inne – bardzo powoli? Duża część odpowiedzi na to pytanie pozostaje tajemnicą. W gruncie rzeczy nie jest nawet prawdą, że są kraje, których gospodarka stale, przez wiele lat szybko rośnie – albo nie. W ciągu ostatniego półwiecza zdarzało się, że kraje szybko idące do przodu w czasie jednej dekady nie powtarzały tego sukcesu w czasie kolejnego dziesięciolecia lub dziesięcioleci. Gospodarka Japonii przez pewien czas rosła w bardzo szybkim i stałym tempie – a następnie zwolniła. Indie, dziś jeden z najszybciej rozwijających się krajów świata, przez większą część czasu swojego istnienia szły naprzód bardzo powoli – nie mówiąc o okresie pięćdziesięciu lat przed uzyskaniem niepodległości, kiedy ich gospodarka nie rozwijała się w ogóle [Easterly, Kremer, Pritchett, Summers, 1993, s. 459–483]. Chiny rozwijają się szybko od dłuższego już czasu, ale w perspektywie historycznej trzeba powiedzieć, że to wyjątkowo rzadki przypadek. Ekonomisci, organizacje międzynarodowe i inni komentatorzy chcieliby wziąć pod lupę kilka takich szybko rosnących gospodarek i poszukać ich wspólnych cech czy podobieństw w prowadzonej polityce, które można by uznać za klucz do wzrostu gospodarczego – jeśli tylko oczywiście dałoby się w ten sposób pomóc w rozwoju także innym krajom [Komisja ds. Wzrostu Gospodarczego, 2008]. To samo dotyczy prób analizy sytuacji krajów, które radzą sobie najgorzej („dolny miliard”) i znalezienia przyczyn ich porażek [Collier, 2008]. Stwierdzenia te przypominają próby opracowania charakterystyki ludzi, którzy postawili na „zero” tuż przed tym, jak kulka wpadła do jego przegródki na stole do ruletki: w gruncie rzeczy służą ukryciu naszej fundamentalnej niewiedzy.

Absurdalność takiego myślenia przypomina mi szukanie klucza do sukcesu w Szkocji w czasach mojej młodości. Szkocja to miejsce często zimne, mokre i wietrzne; kiedy byłem dzieckiem, niewiele wiedziałem o ekonomii – i niewiele mnie ona obchodziła – dużo natomiast rozmawiało się o pogodzie. Długie, ciepłe letnie miesiące w latach 1955 i 1959 zdawały się trwać bez końca – kolejne złociste dni spędzaliśmy w lesie czy nad rzeką. Co było kluczem do tego niewątpliwego sukcesu? Często o tym myślałem – kiedyś

doszedłem do wniosku, że oba te piękne lata miały miejsce, kiedy chodziłem jeszcze do szkoły podstawowej, a więc to zapewne ten etap edukacji był czynnikiem decydującym! Ale mój kuzyn David, o kilka lat ode mnie starszy, uświadomił mi, że przecież w tym samym czasie on był już w szkole średniej, co zmusiło mnie do porzucenia myśli o wpływie edukacji na pogodę. Potem obaj przypomnieliśmy sobie, że lata 1955 i 1959 były latami, kiedy u władzy była partia konserwatywna. Może zatem kluczem do pięknego lata nie była edukacja, ale polityka?... Tak, to oczywiście nonsens i takim samym nonsensem jest przyjrzenie się kilku sukcesom i kilku porażkom, a następnie próba bezrefleksyjnego uogólnienia opartego na czystym przypadku. Etruscy i rzymscy haruspikowie robili mniej więcej to samo, tyle że używali do tego zwierzęcych wnętrzności...

### Rozwój, zdrowie i eksplozja demograficzna

W ciągu sześćdziesięciu lat od zakończenia drugiej wojny światowej nastąpił bezprecedensowy spadek umieralności i bezprecedensowy wzrost oczekiwanej długości życia (opisałem to w rozdz. 4), a także szybki wzrost średnich dochodów. Trzeba jednak powiedzieć, że przez dłuższy czas nikt nie przewidywał tak pozytywnego obrotu spraw – a wręcz przeciwnie.

Wiedza o tym, że choroby przenoszone są przez drobnoustroje, sprawiła, że ludzie zaczęli kontrolować szkodniki roznoszące zarazki, zadbali o czystą wodę, wprowadzili programy szczepień i antybiotyki w biednych krajach – uratowano w ten sposób życie milionów ludzi, głównie dzieci. Spowodowało to szybki wzrost oczekiwanej długości życia i sprawiło, że szansa przeżycia w krajach biednych zbliżyła się do szansy przeżycia w krajach bogatych. Miliony dzieci, które mogły umrzeć, przeżyły. Wzrost oczekiwanej długości życia oznaczał zatem także wzrost liczby ludzi na świecie, a to wcale nie przez wszystkich uznawane było za korzystne. Zanim liczba ludzi na świecie przekroczyła miliard, minęła prawie cała dotychczasowa historia ludzkości: nastąpiło to dopiero na początku XIX w. Około 1935 r., a więc zaledwie półtora wieku później, były nas już dwa miliardy. W 1960 r. – w trzydzieści

pięć lat! – trzy miliardy. Później tempo przyrostu populacji nie spadło: liczba ludzi na Ziemi rosła o 2,2% rocznie; było to najwyższe tempo w historii, wystarczające, aby ludzkość podwajała swoją liczbę co trzydzieści dwa lata. Mówienie o eksplozji demograficznej na pewno nie było przesadą.

Eksplozja ta wywołała wielkie zaniepokojenie w latach 60. XX w. – zarówno w szerokich kręgach społeczeństwa (w każdym razie w krajach bogatych), jak i wśród decydentów, naukowców, fundacji i organizacji międzynarodowych. Niepokój ten miał głównie podstawy humanitarne; wiele biednych krajów i tak z trudem radziło sobie z wykarmieniem swoich mieszkańców, więc dodatkowe miliony jeszcze pogorszyłyby sytuację. Przypominało to sytuację biednej rodziny i tak ledwo wiążącej koniec z końcem, która nagle znajduje na progu tuzin głodnych krewnych do wykarmienia. W powietrzu wisiało widmo wielkiego głodu. Zwłaszcza ludzie odwiedzający Indie byli przerażeni oczywistym – pozornie – przeludnieniem i wizją powiększenia populacji tego kraju o kolejne miliony ludzi. Rzeczywiście, kiedy mieszkańiec Zachodu po raz pierwszy odwiedza slumsy Delhi czy Kalkuty, łatwo może przerazić się widokiem powszechnej nędzy i chorób; widokiem ślepców, trędowatych, kalekich dzieci, ludzi wypróżniających się na ulicach – czy po prostu samą nieogarnioną masą ludzką. Czy nie wydaje się oczywiste, że zwiększenie liczby ludzi jeszcze pogorszy tę sytuację?

Problemem były także kwestie światowego bezpieczeństwa. Wzrost poziomu ubóstwa niewątpliwie stanowiłby podatny grunt dla komunizmu – tak jak wcześniej stało się w Chinach – a Stany Zjednoczone i ich sojusznicy musieli zrobić wszystko, co w ich mocy, aby nie dopuścić do efektu domina. Oczywiście nie małe znaczenie miały także mniej pozytywne motywy. Ruchy eugeniczne od dawna troszczyły się o jakość populacji. Co prawda idee eugeniczne były znacznie mniej popularne po upadku nazi-stowskich Niemiec, niemniej jednak wizja tego, że biedni, niewykształceni ludzie będą rozmnażać się znacznie szybciej niż ludzie bogaci i wykształceni, wyglądała na realne zagrożenie dla przyszłości ludzkości. W przypadkach skrajnych entuzjazm dla kontroli populacji w Afryce i Azji miał wiele wspólnego z kolorem skóry tych, których liczebność miała być kontrolowana. Wszystko to

doprowadziło do tego, że elementem polityki stała się pomoc krajom biednym w kontroli liczebności populacji przez zmniejszenie liczby dzieci; kraje bogate uczyniły to elementem swojej polityki zagranicznej, organizacje międzynarodowe pożyczają na ten cel pieniądze, fundacje zbierały odpowiednie środki. Tym, co na ten temat myśleli sami biedni – czyli ludzie, o których dzieci chodziło – nikt się specjalnie nie przejmował.

Dlaczego tak powszechna stała się myśl, że większa liczba ludzi oznacza automatycznie większą biedę? Wydawało się oczywiste, że jeśli dana ilość żywności i innych dóbr musi być podzielona na większą liczbę ludzi, to każdy dostanie mniej. Ekonomiści mówią o tzw. *lump fallacy*: błędnym przekonaniu, że liczba miejsc pracy albo zasobów jest stała – gdyby tak było, to rzeczywiście zwiększenie liczby ludzi powodowałoby zmniejszenie ilości dóbr przypadającej na osobę, tak jakby na obiedzie w domu biednej rodziny pojawili się nieoczekiwani goście. Oczywiście nawet ta uproszczona analogia zawodzi, jeśli nieoczekiwani goście przyniosą ze sobą coś do jedzenia – w takim przypadku może się okazać, że ten wspólny obiad będzie lepszy (zarówno w kategoriach wartości odżywczych, jak w kategoriach społecznych...) niż pierwotnie zakładano. Problem wzrostu biedy przy wzroście liczby ludzi nie jest problemem czysto arytmetycznym; kwestia nie ogranicza się tylko do tego, jakie będą koszty pojawienia się większej liczby ludzi, ale także tego, co ci ludzie wniosą. Mówiąc inaczej: każde dodatkowe usta pojawiają się razem z parą rąk – to oczywiście ogromne uproszczenie, ale na pewno lepiej oddające istotę rzeczy niż *lump fallacy*, w którym zakłada się, że każdy nowy uczestnik posiłku przychodzi z pustymi rękami.

Musimy także zdać sobie sprawę z tego, że afrykańskie i azjatyckie dzieci, które najbardziej przyczyniały się do eksplozji demograficznej, były – w większości przypadków – dziećmi chcianymi przez swoich rodziców. W tamtych czasach teza ta była często przedmiotem dyskusji; ludzie byli postrzegani jako niewolnicy popędu seksualnego, którego niefortunnym, acz nieuniknionym owocem były dzieci. Oczywiście nie wszyscy i nie wszędzie mają dostęp do współczesnych, tanich metod antykoncepcji, ale mamy twarde dowody (jeśli w ogóle potrzebne są jakieś dowody...) na to, że większość ludzi z różnych powodów chce mieć dzieci, które

pojawiają się w ich rodzinach. Wizja niepokromionych namiętności była wygodnym, racjonalnym uzasadnieniem tego, co „my” uważaliśmy za słuszne: „pomocy” biednym ludziom, aby mieli mniej dzieci – dzieci, których „oni” chcieli, a „my” nie. Nikt nigdy nie przedstawił dowodów na to, że ktokolwiek oczekiwał od nas takiej pomocy, ani na to, że mniejsza liczba dzieci oznaczała lepsze życie. Co więcej – okazuje się, że jest wręcz przeciwnie.

To, że rodzice chcą mieć więcej dzieci, niekoniecznie oznacza, że większa liczba dzieci jest korzystna dla społeczeństwa; ich posiadanie może wiązać się z konsekwencjami, o których rodzice nie wiedzą – albo wiedzą, ale postanawiają tę wiedzę zignorować. Dzieci mogą stać się powodem kosztów ponoszonych także przez inne rodziny. Jeśli koszty ponosi tylko sama rodzina dziecka, możemy zwykle zaufać rodzicom i założyć, że wzięli pod uwagę rachunek kosztów i pożytków i decydują się na dzieci wtedy, kiedy to dla nich dobre. Dzieci mogą oczywiście zredukować zasoby, z których korzystają inni członkowie rodziny, i rzeczywiście, niewiele dzieci od urodzenia wnosi swój ekonomiczny wkład w życie rodziny. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę wszystkie czynniki – w tym przyszłe perspektywy ekonomiczne rodziców i dzieci, a także radości płynące z rodzicielstwa – możemy przyjąć bezpieczne założenie, że kolejne dzieci przyczyniają się do wzrostu dobrobytu rodziny. Możemy oczywiście martwić się, że niektórzy rodzice mają dzieci tylko po to, aby je wykorzystywać, ale nawet to nie oznacza, że inni ludzie potrafią podejmować za nich lepsze decyzje. Poważniejszym argumentem jest sytuacja, kiedy koszty związane z dziećmi ponoszą także inne rodziny: szkoły i przychodnie zdrowia są bardziej zatłoczone, mniej pozostaje ziemi do podziału, drewna na opał, czystej wody, nie wspominając już o wpływie na globalne ocieplenie. Takie problemy – opisywane często jako „tragedia wspólnego pastwiska” – wynikają z założenia, że ludzie będą mieli za dużo dzieci; tego typu argumenty od dawna leżą u podstaw idei kontroli populacji.

Istnieją różne sposoby rozwiązania problemu „tragedii wspólnego pastwiska”. Ekonomisci wykorzystują do tego ceny, czasami też można za pomocą podatków zwrócić uwagę ludzi na koszty społeczne, które bez tego ignorują. Klasycznym przykładem może być globalny podatek węglowy, który mógłby przyczynić

się do walki z globalnym ociepleniem. Ale ta strategia jest także ilustracją innego problemu: okazuje się, że ustanowienie takiego podatku wymaga trudnego do osiągnięcia poziomu politycznego porozumienia. Problemy lokalne – takie jak dostęp do drewna na opał, wykorzystanie pastwisk, dostęp do wody – można rozwiązać za pomocą lokalnych porozumień politycznych. Choć nigdy nie ma gwarancji, że potrzeba politycznego działania zostanie zrealizowana (problemem może się okazać brak odpowiednich instytucji), to dyskusje polityczne na poziomie lokalnym zwykle pozwalają dojść do porozumienia i powstrzymać ludzi od robienia rzeczy, których koszty ponoszą inni. Kwestie szkół czy przychodni zdrowia można rozwiązywać albo na poziomie lokalnym, albo na poziomie centralnym. Odpowiednie instytucje polityczne mogą wykorzystywać różnego rodzaju motywacje ekonomiczne lub społeczne, aby ograniczać wielkość rodzin. Taki sposób kontroli liczebności populacji – jeśli decyzje zostają podjęte na drodze demokratycznej – jest odpowiednim sposobem rozwiązywania problemów wynikających z „tragedii wspólnego pastwiska”. Tym, czego takimi argumentami uzasadnić nie można, są próby kontroli populacji przez podmioty zewnętrzne, takie jak zagraniczne rządy, instytucje międzynarodowe czy fundacje – zwłaszcza jeśli te podmioty mają w tym własne interesy i jeśli nie rozumieją dobrze sytuacji ludzi, którym teoretycznie starają się pomóc.

Kwestia kontroli populacji doprowadziła już do wielu szkód. Najgorsze miały miejsce w Indiach, gdzie dobrowolna sterylizacja często wcale nie była dobrowolna. Choć odpowiedzialnymi za te nadużycia byli indyjscy politycy i urzędnicy, to takie instytucje, jak Amerykańska Agencja Rozwoju Międzynarodowego (USAID) czy Bank Światowy, także ponoszą dużą część odpowiedzialności, ponieważ to one zachęcały do takich działań, a także wspierały je intelektualnie i finansowo [Connelly, 2008]. Chińska polityka jednego dziecka – narzucona przez niedemokratyczne władze, zainspirowane zachodnimi lękami przed przełudnieniem – kontynuowana jest do dziś, będąc jednym z najpoważniejszych przestępstw, jakich współczesne rządy się dopuściły wobec swoich obywateli. Nie ma nawet pewności, czy polityka ta w ogóle jest skuteczna: znacznie większy spadek dzietności odnotowano na Tajwanie, podobny w Tajlandii i w południowych

Indiach, a w żadnym z tych krajów rządy nie stosowały przymusu i nie gwałciły prawa do prywatności w tak bardzo osobistej sferze życia.

Mimo mrozących krew w żyłach prognoz i przepowiedni okazało się, że eksplozja demograficzna nie pogrążyła świata w otchłani głodu i zniszczenia. Przeciwnie: ostatnie pół wieku to nie tylko spadek umieralności (będący przyczyną szybkiego przyrostu liczby ludzi), lecz także wielka ucieczka przed nędzą i głodem (które przecież miały być skutkami przeludnienia). Jak to się stało? Jak mogliśmy się tak bardzo mylić?

Przede wszystkim **nie wszyscy** się mylili. Ekonomista i demograf, Julian Simon, konsekwentnie krytykował czarnowidzów, a jego przewidywania dotyczące przyszłości były zadziwiająco trafne – choć używane przez niego argumenty są dziś akceptowane znacznie chętniej niż wówczas. W książce *The Ultimate Resource* Simon twierdził, że podstawowym źródłem dobrobytu nie jest ani ziemia, ani surowce naturalne – których kiedyś może zabraknąć – ale ludzie [Simon, 1983]. Jego zdaniem każde dodatkowe usta pojawiają się na świecie nie tylko razem z parą rąk (co samo w sobie powinno w dłuższej perspektywie czasowej uniezależnić średnie dochody od liczebności populacji), ale także z twórczym umysłem. Nowe idee, które rodzą się w niektórych z tych umysłów, przynoszą korzyści nie tylko właścicielom umysłów, lecz także całej ludzkości. O ile dwukrotne zwiększenie liczby „ust” i dwukrotne zwiększenie liczby rąk do pracy sprawia, że wszyscy mają tyle samo co przedtem, to te dodatkowe umysły mogą stworzyć nowe sposoby działania, dzięki którym **wszystkie** te ręce będą mogły zrobić więcej. Oczywiście, nie każde nowo narodzone dziecko wyrośnie na Einsteina, Edisona czy Henry’ego Forda i nie każdy nowy pomysł przyniesie wszystkim korzyści. Ale ponieważ ideami i pomysłami można się dzielić, nie każdy musi być geniuszem, a każda idea, którą można zastosować powszechnie, przynosi korzyści wszystkim, którzy ją wykorzystują – a nie tylko temu, kto ją wynalazł. Większa liczba dzieci może generować większe koszty dla wszystkich – choćby w kwestii szkół i przychodni zdrowia – ale oznacza także korzyści w postaci nowych idei i nowych sposobów działania, które są podstawą wzrostu gospodarczego, a więc narzędziami umożliwiającymi „wielką ucieczkę”.

Te korzyści łatwo mogą przeważać koszty. A jeśli tak, to poprawa warunków zdrowotnych, która nastąpiła w latach 50. i 60. XX w., była dla świata podwójnym błogosławieństwem: nie tylko dlatego, że wzrosła oczekiwana długość życia, ale także dlatego, że eksplozja demograficzna przyniosła ze sobą także globalną eksplozję wiedzy i kreatywności.

Ekonomista i demograf, David Lam, wygłosił w 2011 r. autorytatywny wykład dla członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Badań nad Populacją (Population Association of America – PAA). Wskazał w nim podstawowe czynniki decydujące o światowym dobrobycie i koniunkturze w świetle rekordowego przyrostu populacji [Lam, 2011, s. 1231–1262]. Jednym z tych czynników był spadek dzietności: w obliczu bezprecedensowego spadku umieralności dzieci i niemowląt wiele rodzin decyduje się na mniejszą liczbę dzieci. Wcześniej rodzice myśleli nie w kategoriach liczby **urodzonych** dzieci, ale w kategoriach liczby dzieci, które **przeżyły**. Dzieci, które dawniej szybko by zmarły, „nie musiały” już się rodić, oszczędzając matkom trudu i niebezpieczeństw związanych z ciążą i porodem, a obojgu rodzicom – cierpienie związanych ze śmiercią potomstwa. Przyzwyczailiśmy się do myśli, że głównymi beneficjentami spadku umieralności dzieci i niemowląt są właśnie te dzieci, które – zamiast umrzeć – dożywają wieku dorosłego. To oczywiście prawda, ale znacząco zmieniło się także życie rodziców – zwłaszcza matek; mogą one dziś angażować się w wiele innych aktywności, kształcić się, pracować poza domem. Mogą także poświęcać więcej środków i czasu na opiekę i wychowanie każdego z żyjących dzieci.

Kiedy mniej dzieci umiera, rodzice mogą decydować się na mniejszą ich liczbę przy zachowaniu tej samej liczby dorosłych dzieci, zapewniających kontynuację rodziny, dziedziczenie majątku i podtrzymywanie tradycji – ale przy niższych kosztach (zwłaszcza jeśli chodzi o ryzyko i wysiłek). Redukcja dzietności nie była natychmiastowym skutkiem spadku śmiertelności (inaczej nie byłoby eksplozji demograficznej), ale widać ją w danych z okresu rzędu dekady. W efekcie nastąpiła eksplozja demograficzna, która jednak jest zjawiskiem przejściowym (co nie znaczy, że krótkotrwałym). Świat przeszedł od sytuacji, w której liczba narodzin i śmierci była mniej więcej równa, do sytuacji, w której liczba narodzin znacząco



przewyższała liczbę zgonów. Po pewnym czasie zaczęła wracać równowaga, ale zarówno liczba narodzin, jak i zgonów była niższa niż przed rokiem 1950. Roczne tempo wzrostu liczebności światowej populacji, które w 1960 r. wynosiło 2,2%, w 2011 r. było już o połowę mniejsze. Ludzie, którzy urodzili się między rozpoczęciem spadku umieralności a rozpoczęciem spadku dzietności, przyczynili się do ogromnego wzrostu populacji: najpierw jako dzieci, kiedy ich potrzeby były większe od wkładu, który mogli wnieść, później jako dorośli, produktywni i twórczy, a w końcu – jako ludzie starsi, z których wielu korzysta z emerytur.

Lam podkreślał także, że odpowiedź światowej gospodarki na wyzwanie związane ze wzrostem populacji okazała się sukcesem. To jeden z powtarzających się schematów: społeczeństwo adaptuje się do nowych problemów częściowo dzięki nowym sposobom działania (eksplozja demograficzna okazała się tu pomocna, bo pojawiło się wiele nowych umysłów), a częściowo przez motywację do zmian. Tak zwana zielona rewolucja i inne zmiany podniosły efektywność rolnictwa, toteż produkcja żywności rosła szybciej niż liczebność populacji. W upowszechnianiu wzrostu gospodarczego pomagał także proces globalizacji, dzięki któremu produkcja przenosiła się do tych krajów i miejsc, gdzie mogła być najbardziej wydajna. Ograniczone zasoby były oszczędzane – albo zastępowane. System cen odgrywa zasadniczą rolę w tworzeniu motywacji; jeśli zasobów nieodnawialnych zaczyna brakować, ich ceny zaczynają rosnąć, a więc ludzie albo wykorzystują ich mniejszą ilość, albo czymś je zastępują, albo inicjują techniczne zmiany, dzięki którym radzą sobie bez tych zasobów.

Ekonomistów oskarża się czasami, że zbyt ślepo ufają systemowi cen – i czasami tak rzeczywiście jest. Zarówno ekonomiści, jak i ich krytycy, zgadzają się jednak co do tego, że bardzo niebezpieczna jest sytuacja, w której ważne zasoby nie mają wyznaczonych cen, ale dostępne są dla użytkowników za darmo. Jeśli nie ma ceny – nie ma też motywacji do ich oszczędzania. Najważniejszym dziś przykładem jest kwestia globalnego ocieplenia, które – jeśli nie podejmie się żadnych działań – może być jednym z największych zagrożeń dla globalnego dobrobytu.

Błędna diagnoza problemów związanych z eksplozją demograficzną, stawiana przez ogromną większość naukowców i polityków,

a także prowadzona w konsekwencji błędna polityka, która przyczyniła się do krzywdy milionów ludzi, to jedne z najcięższych wśród wielu intelektualnych i etycznych porażek ostatniego stulecia.

Sama antykoncepcja nie była problemem. Środki antykoncepcyjne pozwalały parom decydować o dzietności w sposób najlepszy dla nich samych i ich dzieci, a możliwość taniego i efektywnego regulowania dzietności poprawiła życie kobiet na całym świecie. Podobnie jak w przypadku innych nowości, pierwszymi beneficjentami tej zmiany byli mieszkańcy krajów bogatych, co także stało się powodem wzrostu nierówności. Zmniejszenie tych nierówności przez udostępnienie nowych metod na całym świecie szybko uznano za działanie priorytetowe, które potencjalnie może przynieść takie same ogromne korzyści, jak wcześniej antybiotyki czy szczepienia. Zdecydowanie złe było natomiast zmuszanie do określonych zachowań i ograniczenie wolności milionów ludzi. Kraje bogate, w imię pomocy biednym, stały się współodpowiedzialne za ten przymus. Zamiast włączyć się w usuwanie nierówności, powiększały je, przyczyniając się do zwiększenia poziomu niesprawiedliwości na świecie. Część krzywd wyrządzano nieświadomie, a naukowcy i decydenci byli przekonani, że ich diagnozy i zalecenia powinny pomóc biednym. Źródłem tych pomyłek były jednak interesy krajów bogatych – ich lęk o to, jak będzie wyglądała ich sytuacja w świecie, na którym żyć będzie więcej biednych ludzi, i o to, że eksplozja demograficzna przyczyni się do wzmocnienia komunizmu.

### Nędza na świecie

Przekonaliśmy się już, że wzrost narodowego dobrobytu w Stanach Zjednoczonych nie zredukował znacząco skali ubóstwa – w każdym razie po roku 1975. Świat jako całość miał więcej szczęścia – szybki wzrost średnich dochodów, zwłaszcza w Chinach i Indiach i zwłaszcza po 1975 r., miał istotny wpływ na spadek skrajnego ubóstwa na całym świecie. Najbardziej widoczne było to w Chinach, ale także w Indiach miliony ludzie wyrwały się z biedy, w której żyły od pokoleń; to najważniejsza „wielka ucieczka” w historii.



Choć cała historia jest dla nas dosyć jasna, a płynące z niej wnioski są dość powszechnie akceptowane, chciałbym przedstawić ją bardziej szczegółowo – choćby dlatego, że sposób mierzenia ubóstwa nie jest oczywisty, podobnie jak nie jest oczywiste to, co mamy na myśli, mówiąc o ludziach żyjących poniżej granicy 1 czy 1,25 dolara dziennie.

Stwierdzenie, kto jest biedny, a kto nie, jest stosunkowo proste z punktu widzenia społeczności lokalnej. Specjaliści do spraw rozwoju posługują się metodą *participatory rural assessments*, czyli oszacowaniem z udziałem społeczności wiejskiej. W praktyce wygląda to tak, że mieszkańcy danej wioski gromadzą się w miejscu spotkań – np. pod figowcem – i opowiadają osobom zbierającym dane o swojej wsi: o zebranych plonach, o poszczególnych ludziach i ich zajęciach, o tym, jak mieszkają, o wodzie pitnej, środkach transportu. Zwykle jako biedni postrzegani są ludzie niepełnosprawni albo starzy, niemający rodziny, która by ich wspierała. W krajach zamożnych ludzie także chętnie udzielają rozsądnych odpowiedzi na pytania o to, ile potrzebuje rodzina, żeby „sobie poradzić” w swojej społeczności. Ustalenie granicy ubóstwa dla całego kraju jest znacznie trudniejsze – choćby dlatego, że często wiąże się to z uprawnieniami do różnego rodzaju pomocy, np. zasiłków dostępnych wyłącznie dla osób żyjących poniżej tej granicy. Jak widzieliśmy jednak na przykładzie Stanów Zjednoczonych, te wyznaczane dla całego kraju granice jakoś funkcjonują i można je korygować i uaktualniać, wykorzystując do tego polityczną debatę. Tak właśnie było w Indiach, gdzie granica ubóstwa – pierwotnie określona przez naukowców po pomiarach standardów życia – została następnie zaadaptowana przez władze (w Indiach tą kwestią zajmuje się Planning Commission, czyli komisja planowania); kiedy granica ta okazuje się nieaktualna albo jej wysokość traci poparcie społeczne, wówczas zostaje skorygowana – pomaga w tym „komitet ekspertów”, ciało niezwykle w Indiach popularne.

Granice ubóstwa w Indiach i Stanach Zjednoczonych zostały ustalone i dyskutowane w ramach systemu demokratycznego, włącznie z debatami w prasie i sporami między zainteresowanymi stronami – dzięki temu ich ostateczny kształt ma silną legitymizację wewnętrzną. Niestety, w wielu innych krajach – być może

w większości – granice ubóstwa nie są ustalane w taki sposób. Wiele rządów, dla których „walka z ubóstwem” ma znaczenie czyśto retoryczne, wyznacza granice tego ubóstwa wyłącznie dlatego, że skłania je do tego Bank Światowy bądź jakieś inne organizacje międzynarodowe czy pozarządowe (NGO). W takich przypadkach granica ubóstwa nie jest wyznaczana na drodze wewnętrznej debaty, ale odgórnie, na podstawie np. danych Banku Światowego.

Granice ubóstwa wyznaczane przez Bank Światowy albo z użyciem proponowanych przez Bank Światowy metod są zwykle dosyć rozsądne, przynajmniej w ocenie zagranicznych ekspertów. Zwykle oblicza się je jako wysokość dochodu, za który statystyczna rodzina jest w stanie kupić minimalną ilość pożywienia, niezbędną do normalnego życia. Problemem tak wyznaczanych granic nie jest zatem brak **wiarygodności**, lecz raczej brak gwarancji, że ktokolwiek w danym kraju, a zwłaszcza ludzie biedni, uzna je za rozsądną granicę między ludźmi żyjącymi w ubóstwie a tymi, którzy ubodzy nie są. W efekcie granice te służą głównie agencjom międzynarodowym, które potrzebują pomiarów skali ubóstwa do własnych celów.

Oryginalna granica ubóstwa przyjmowana przez Bank Światowy, czyli 1 dolar dziennie (obecnie uaktualniona do kwoty 1,25 dolara dziennie) była efektem uśrednienia granic ubóstwa ustalanych w kilku najbiedniejszych krajach świata. Te lokalne granice ubóstwa wyznaczane były w lokalnych walutach, a więc przed wyciągnięciem z nich średniej trzeba było przeliczyć ją na wspólną walutę, co zrobiono po kursie wynikającym z parytetu siły nabywczej (PSN), o którym pisałem wcześniej. Kiedy dwadzieścia lat temu Bank Światowy po raz pierwszy dokonał tych obliczeń, średnia wyniosła ok. dolara dziennie (według wartości dolara z 1985 r.), a więc 1460 dolarów rocznie na czteroosobową rodzinę; ostatnia wyliczona średnia wynosiła 1,25 dolara (według wartości dolara z 2005 r.), czyli 1825 dolarów na taką samą rodzinę. Na końcowym etapie ta globalna granica ubóstwa jest przeliczana z powrotem na waluty lokalne i wykorzystywana w każdym z biednych krajów na świecie (krajów bogatych nie uwzględnia się w tych obliczeniach), aby obliczyć liczbę osób żyjących na lokalnej granicy ubóstwa lub poniżej niej. Takie wyliczenia pozwalają poznać liczbę osób w danym kraju, które żyją w biedzie według

globalnych kryteriów; później te liczby dodaje się, aby otrzymać dane dla całego regionu – i wreszcie dla całego świata.

Takie obliczenia dokonywane są mniej lub bardziej regularnie od 1990 r., obecnie Bank Światowy publikuje dane na temat ubóstwa na świecie w latach 1980–2008. Korzystałem z tych danych w rozdziale 1. Rysunek 1.6 pokazuje, że liczba ludzi żyjących za mniej niż dolara dziennie (według wartości dolara z 2005 r.) spadła z ok. 1,5 miliarda w 1981 r. do 805 milionów w 2008 r. Spadek ten nastąpił mimo znacznego wzrostu liczebności populacji – na świecie przybyły w tym czasie niemal 2 miliardy ludzi – dzięki czemu odsetek ludzi żyjących poniżej granicy ubóstwa spadł bardziej niż ich liczba bezwzględna: z 42 do 14%. Spadek ten zawdzięczamy niemal w całości „cudowi gospodarczemu”, jaki dokonał się w Chinach; gdyby z tego zestawienia wykluczyć Chiny, to w 1981 r. za mniej niż dolara dziennie żyło 785 milionów ludzi, a w 2008 r. – 708 milionów. To już mniej imponujący spadek, jeśli jednak spojrzeć na niego z punktu widzenia odsetka w całej populacji świata z wyłączeniem Chin, to i tak liczba najbiedniejszych spadła z 29 do 16%.

W Indiach, kolejnym ogromnym kraju o bardzo szybkim wzroście gospodarczym, liczba ludzi żyjących za mniej niż dolara dziennie spadła z 296 do 247 milionów, a odsetek populacji – z 42 do 21%. Chiny i Indie to kraje, które odniosły sukces; szybki wzrost gospodarczy w bogatych krajach to siła napędowa, która pozwoliła na dokonanie ogromnych wyłomów w światowej biedzie. Z kolei Afryka Subsaharyjska to przykład terenów, na których próby redukcji skali ubóstwa na razie zakończyły się porażką. Odsetek populacji żyjącej za mniej niż dolara dziennie w 2008 r. wynosił 37% – to bardzo mały spadek w porównaniu z 47% w 1981 r. – a liczba ludzi żyjących w tym regionie wzrosła niemal dwukrotnie, ze 169 do 303 milionów.

Afryka to wielki kontynent, na mapie świata zajmuje bardzo duży teren, ale gęstość zaludnienia jest tu znacznie niższa niż w Azji Południowej czy Wschodniej – dlatego względna porażka w kwestii redukcji ubóstwa w Afryce miała mniejszy wpływ na poziom ubóstwa na świecie niż sukcesy krajów azjatyckich. Mimo to nie możemy powielać często popełnianego błędu i umniejszać czy pomijać sukcesu Chin. Pesymiści, zwłaszcza pracujący dla

organizacji pomocowych, często twierdzą, że – jeśli pominąć pojedynczy przypadek Chin – globalizacja i wzrost gospodarczy nie wpłynęły znacząco na poziom biedy na świecie. Niestety, to kompletnie niewłaściwy sposób postrzegania tej biedy: Chiny nie są jakimś pojedynczym przypadkiem, ale krajem liczącym 1,3 miliarda mieszkańców, a umniejszanie znaczenia ich ucieczki od nędzy jest sugerowaniem, że Chińczycy liczą się mniej niż Etiopczycy, Kenijczycy czy mieszkańcy Senegalu. Sytuację każdego kraju warto analizować i mierzyć oddzielnie, ale jeśli próbujemy analizować i mierzyć dobrobyt w skali całego świata, to każdy człowiek musi dla nas znaczyć tyle samo – niezależnie od tego, gdzie mieszka. Nie ma premii za życie w mniejszym kraju ani kar za życie w większym. Idea „światowego ubóstwa” jest kosmopolityczna, a więc jej pomiary muszą być oparte na kosmopolitycznych podstawach.

Na ile wiarygodne są dane na temat ubóstwa? Metody stosowane przez Bank Światowy można uznać za rozsądne (jeśli pominąć brak procedur demokratycznych na poziomie lokalnym) – ale pojawia się wiele trudności; ci, którzy konstruowali i analizowali te dane, traktują je bardziej sceptycznie i ostrożnie niż inni. Mimo to wydaje mi się, że możemy mieć pewność co do ogólnego schematu redukcji poziomu ubóstwa na świecie. Szybki wzrost gospodarczy Chin i Indii to zjawisko absolutnie realne, a spadek ubóstwa jest faktem, niezależnie od możliwych przeszacowań poziomu wzrostu dochodu narodowego, zwłaszcza w Chinach. Dane dotyczące Afryki są często mało dokładne i niepewne, ale utrzymujący się poziom ubóstwa pasuje do innych danych na temat tego regionu, takich jak stosunkowo niski poziom wzrostu dochodu narodowego i mały spadek dzietności. Poza tymi ogólnymi trendami ogólny obraz kwestii ubóstwa na świecie jest jednak dużo mniej jasny.

Słabością szacunków na temat ubóstwa na świecie jest ich uzależnienie od kursów walut opartych na PSN – siłą rzeczy są one przedmiotem tej samej krytyki co same kursy (wystarczy przypomnieć sobie problem Marmite i temu podobne). Inny kłopot polega na sposobie obliczania liczby ludzi, którzy w każdym z krajów żyją poniżej granicy ubóstwa. Rodzi się też pytanie, czy samo wyznaczanie tych granic w ogóle ma jakiś sens.

Kursy walut oparte na PSN nie są obliczane systematycznie co roku, lecz tylko od czasu do czasu; ostatnie trzy takie wyliczenia pochodzą z lat 1985, 1993 i 2005, a w chwili, kiedy piszę te słowa, trwają opracowania dla roku 2011. Nie wszystkie kraje uczestniczą w każdym takim badaniu; Chiny, których rozmiar gwarantuje duży wpływ na wyniki, nie brały w nich udziału przed 2005 r., toteż wszystkie wcześniejsze szacunki były oparte na niepełnych informacjach – wprawdzie były dokładniejsze niż zgadywanie, ale trudno byłoby stwierdzić, że są oparte na solidnych podstawach. Z tych powodów – albo z powodu trudności w pomiarach (nie jesteśmy tego pewni) – liczba osób żyjących poniżej granicy ubóstwa ma niepokojącą tendencję do zmieniania się za każdym razem, kiedy rewidowany jest parytet siły nabywczej. Zmiany te dotyczą nie tylko liczby osób najbiedniejszych w poszczególnych krajach, ale także całych kontynentów. Rewizja PSN z 1993 r. sprawiła, że Afryka nagle musiała zostać uznana za biedniejszą niż dotąd, a Ameryka Łacińska przeciwnie – za mniej biedną. I nie były to błahe zmiany: w Afryce Subsaharyjskiej odsetek osób żyjących poniżej granicy ubóstwa wzrósł w związku z tym z 39 do 49%.

W 2005 r., kiedy znowu pojawiły się nowe dane, Bank Światowy podniósł szacunkową liczbę osób żyjących w ubóstwie o mniej więcej jedną trzecią; wśród tych, którzy w ten sposób „dołączyli” do najbiedniejszych, znacznie więcej było mieszkańców Azji niż Afryki. Większość tego wzrostu wynikała stąd, że Bank Światowy zmienił granicę ubóstwa, ale zmiana ta dobrze ilustruje zawodność tych danych, nie wspominając o sugestii, że nie jest dobrze, kiedy Bank Światowy jest jedynym źródłem danych liczbowych, na których opiera się ocena jego własnych wysiłków w walce z ubóstwem. Oczywiście trzeba dodać, że wszystkie te zmiany są wyłącznie zmianami **statystycznymi**, a nie realnymi; nikt na świecie nie staje się biedniejszy czy bogatszy tylko dlatego, że zmieniły się statystyki. Ale te statystyczne zmiany mogą mieć zupełnie realny wpływ na działanie organizacji międzynarodowych i pozarządowych, które przesuwały swoje środki i działania (i całą związaną z nimi retorykę) w stronę miejsc, w których „widzą” najwyższy poziom ubóstwa. To jeden z wielu powodów, dla których pomiary mają jednak znaczenie. Ogromna część działań związanych z próbami redukcji biedy w Afryce nastąpiła po rewizji PSN z 1993 r.

i najprawdopodobniej była nią spowodowana. Kierowanie pomocy i uwagi w stronę najbiedniejszych miejsc na świecie może być pogonią za cieniem, ponieważ mapa światowego ubóstwa zmienia kolory niczym kameleon.

Ogólne trendy nie zmieniają się specjalnie wraz z rewizją danych liczbowych. Mimo to jest możliwe, że tempo spadku poziomu ubóstwa w Chinach i Indiach jest niedoszacowane, co oznaczałoby, iż w rzeczywistości poziom ubóstwa na świecie spada szybciej, niż pokazują oficjalne statystyki. Ta kwestia – wciąż jeszcze nierozstrzygnięta – ma w równej mierze charakter techniczny, jak i polityczny.

Nawet kiedy wyznaczymy już granicę ubóstwa, ustalenie, ilu ludzi biednych żyje w danym kraju, okazuje się zaskakująco trudne. Wszystkie wyliczenia opierają się na badaniach **gospodarstw domowych**, w których przypadkowo wybrani ludzie pytani są o to, ile zarabiają i ile wydają – i na tej podstawie oblicza się liczbę osób w rodzinach żyjących poniżej granicy ubóstwa. Dane te są weryfikowane na podstawie analiz dotyczących dochodu narodowego, które dostarczają niezależnych informacji na temat całkowitego poziomu wydatków i dochodów w całym państwie. Niestety, w wielu krajach ta weryfikacja zawodzi; suma dochodów i wydatków pochodzących z badań rodzin jest często znacznie mniejsza, niż wynikałoby z obliczeń statystyków i – co gorsza – różnica ta stale się powiększa. Innymi słowy, jeśli udajemy się do gospodarstw domowych i pytamy o dochody i wydatki, respondenci informują nas, że poziom ich życia nie poprawia się tak szybko, jak moglibyśmy oczekiwać z tempa wzrostu gospodarczego. Może to wynikać z takiej sytuacji, o jakiej mówiliśmy w przypadku Stanów Zjednoczonych, gdzie dochód narodowy rośnie, ale ten wzrost nie wpływa w sposób istotny na życie typowej rodziny. Główna przyczyna tego stanu rzeczy w Stanach Zjednoczonych – wzrost nierówności – niemal na pewno jest także **częściową** przyczyną tego zjawiska w Indiach i innych krajach. Ale zarówno w Indiach, jak i – na mniejszą skalę – w Stanach Zjednoczonych, dane zbierane w rodzinach są po prostu **niespójne** z danymi na temat całej gospodarki. Ta niefortunna różnica w statystykach pojawia się nie tylko w Indiach, lecz także w wielu innych krajach [Deaton, 2005, s. 1–19].

W Indiach takie statystyczne niespójności wywołały szeroką debatę, która często przybiera bardzo agresywne formy. Jedni – chodzi o szeroko pojętą prawicę – wolą wierzyć danym na temat gospodarki i twierdzą, że szacunki poziomu ubóstwa wynikające z sondaży – na których opiera się zarówno Bank Światowy, jak rząd Indii – zaniżają spadek liczby najbiedniejszych. Mówią o tym, że osoby prowadzące sondaże oszukują i same wpisują wyszane z palca dane, siedząc w herbaciarniach, zamiast męczyć się odpytywaniem ludzi. Inni – bardziej lewicowi – wybierają dane sondażowe, argumentując, że skoro nie widzimy spadku ubóstwa, kiedy pytamy o to ludzi, to nie mamy podstaw twierdzić, że sytuacja się poprawia. Po stronie tych ostatnich są liczne niedoskonałości indyjskich rachunków narodowych i brak jakichkolwiek dowodów na to, że osoby przeprowadzające badania siedzą w herbaciarniach. Nie ulega wątpliwości, że obie strony mają trochę racji, ale spory między nimi przypominają nam, że wszelkie dyskusje na temat ubóstwa często opierają się na danych, które trudno uznać za twarde fakty – co ułatwia wielu ludziom wybieranie własnej, wygodniejszej wersji, zgodnej z ich polityką. U podstaw tej sytuacji leży także fakt, że od pewnego czasu retoryka władz Indii wspiera raczej biznes niż najbiedniejszych [Kohli, 2012]. Dlatego też władzom zależy na pokazaniu, że wzrost gospodarczy przynosi korzyści wszystkim, a nie tylko bogacącej się klasie średniej, żyjącej w kilku dzielnicach nielicznych miast. Zaprzeczanie rzetelności statystyk pochodzących z badań pozwala tym, którzy radzą sobie lepiej, nie zauważać biednych.

Jeden z moich ulubionych przykładów dotyczących Indii ilustruje to, jak niewielkie zmiany mogą przynieść ogromne efekty. Znakomity ekonomista i statystyk, P.C. Mahalanobis z Indian Statistical Institute w Kalkucie, wniósł istotny wkład do teorii i praktyki konstruowania badań sondażowych – zwłaszcza tych, w których pytano ludzi o wydatki konsumenckie. Po wielu próbach doszedł on do wniosku, że należy pytać ludzi o ilość ryżu czy pszenicy, którą skonsumowali w ciągu ostatnich trzydziestu dni. W latach 90. XX w. w prowadzonych w Indiach badaniach stosowano tę właśnie zasadę, choć wiele innych krajów pytało o krótszy okres siedmiu dni – bo wychodzono tam z założenia, że respondenci mogą nie pamiętać dostatecznie dokładnie tego,

co działo się wcześniej. To dlatego, jak twierdzili niektórzy, pojawiło się tyle nieścisłości, a poziom ubóstwa był przeszacowany. Te argumenty przeważały i w większości krajów przerzucono się na okresy siedmiodniowe, co – zgodnie z oczekiwaniami – spowodowało wzrost deklarowanych średnich dziennych wydatków. Ta czysto techniczna zmiana w statystykach sprawiła, że **poziom ubóstwa w Indiach spadł o połowę**: 175 milionów ludzi nie należało już do żyjących poniżej granicy ubóstwa. Długość okresu, o który pytamy osoby badane, to coś, czym chyba tylko statystyk potrafi się ekscytować; wydaje się, że bardziej już nie da się wejść w szczegóły. Okazuje się jednak, że wystarczy taka właśnie drobna, czysto techniczna kwestia, aby kompletnie zmienić miarę i sposób postrzegania ubóstwa. Redukcję ubóstwa znacznie łatwiej osiągnąć metodami statystycznymi, niż rzeczywiście sprawiając, że ludzie będą bogatsi.

Warto dodać: zmiana okresu, o który pytano badanych, nie wytrzymała w Indiach próby czasu. Po powtórzeniu doświadczeń Mahalanobisa okazało się, że pytanie o okres trzydziestu dni nie daje bardzo niedokładnych wyników, a zwykle są one dokładniejsze niż wyniki z okresu siedmiu dni. Tak więc ostatecznie w badaniach pyta się o okres trzydziestu dni, z czego zadowolona jest lewica. Ważniejszy jednak jest wniosek, że w Indiach – podobnie jak w każdym kraju, w którym znaczący odsetek populacji żyje w biedzie – są miliony ludzi, którzy żyją tuż powyżej albo tuż poniżej granicy ubóstwa. Miliony, które żyją w nędzy, ale które nie zostałyby uznane za biedne, gdyby granicę ubóstwa wyznaczył tylko odrobinę wyżej. Oznacza to, że każda, najmniejsza zmiana tej granicy – albo sposobu zbierania danych – ma ogromny wpływ na całkowitą liczbę ludzi uznawanych za biednych. To z kolei decyduje o kształcie całej branży zajmującej się tego typu pomiarami. Nie jesteśmy pewni, gdzie naprawdę powinna przebiegać granica ubóstwa, a przecież jej precyzyjne ustalenie może spowodować ogromne różnice. Mówiąc bardziej wprost, prawda jest taka, że nie do końca wiemy, co robimy, a co za tym idzie, błędem byłoby uzależnianie jakichkolwiek naprawdę istotnych decyzji od tak uzyskanych danych.

Pan Micawber, jeden z bohaterów *Dawida Copperfielda* Karola Dickensa, miał własne podejście do kwestii granicy ubóstwa.

Mówił on: „Roczny dochód dwadzieścia funtów, roczne wydatki dziewiętnaście czy dziewiętnaście i pół, rezultat: szczęście. Roczny dochód dwadzieścia funtów, a roczne wydatki dwadzieścia i pół, rezultat: nędza”<sup>2</sup>. Jedną z przyczyn, dla których ten cytat tak zapada w pamięć, jest to, że wydaje się śmieszny. Dlaczego tak wiele ma zależeć od tak drobnej różnicy? Dlaczego ktoś, kto żyje tuż poniżej granicy ubóstwa, uznawany jest za biednego, co pociąga za sobą uwagę i pomoc Banku Światowego, podczas gdy ktoś, kto żyje tuż powyżej tej granicy, nie otrzymuje pomocy i musi sobie radzić sam? Skoro nie do końca rozumiemy, czym powinna być granica ubóstwa, i mamy poważne problemy z mierzeniem dochodów, czynienie takich kategoriycznych rozróżnień w stylu pana Micawbera jest zupełnie absurdalne. O ile jest sens troszczyć się o ludzi tym bardziej, im bardziej są oni biedni, o tyle na pewno nie ma sensu stawiać ostrych i jednoznacznych granic.

Na koniec jeszcze jedna uwaga na temat globalnej granicy ubóstwa. Większość ludzi nie może oczywiście mieszkać w Stanach Zjednoczonych czy Europie za dolara dziennie na osobę. Choć od nikogo tego nie oczekujemy i choć Stany Zjednoczone i Europa nie są ujęte w tych wyliczeniach, to właśnie ta niemożność podważa istotność wyznaczonej granicy także w innych krajach. Bądź co bądź miliony ludzi w Indiach żyją za mniej niż dolara dziennie według kursu zgodnego z PSN, czyli ok. 22 rupii za dolara, bo też ideą stworzenia takiego kursu jest właśnie zrównoważenie siły nabywczej w różnych krajach. Jeśli więc w Indiach ludzie mogą żyć za 22 rupie dziennie – i wcale nie są jeszcze w najgorszej sytuacji – to dlaczego w Stanach Zjednoczonych nie da się żyć za dolara dziennie?

Nie jestem pewien, czy istnieje jedna, ostateczna odpowiedź na to pytanie. Granica ubóstwa w Indiach nie obejmuje (prawie) trzech rzeczy, które w Stanach Zjednoczonych są bardzo ważne i drogie: kosztów mieszkania, opieki zdrowotnej i edukacji. Poza tym w kraju o tak ciepłym klimacie, jaki mają Indie, prawie nie jest potrzebne ogrzewanie i dużo mniej wydaje się na ubrania. Ludzie, którzy pracują blisko miejsca zamieszkania, prawie nic nie wydają też na transport. Gdybyśmy zatem odliczyli te wszystkie wydatki,

<sup>2</sup> Wyd. pol.: Książka i Wiedza, Warszawa 1989, przekład Karoliny Beylin.

to być może czteroosobowa amerykańska rodzina żyjąca „poza społeczeństwem” byłaby w stanie przeżyć, kupując dostatecznie dużo najtańszego jedzenia po cenach hurtowych – ryżu, płatków owsianych, fasoli i warzyw – za 1460 dolarów rocznie. W jednym z najnowszych badań wyceniono koszyk najbardziej podstawowych produktów na mniej więcej 1,25 dolara dziennie na osobę, co daje rocznie 1825 dolarów rocznie na czteroosobową rodzinę [Allen, Murphy, Schneider, 2012, s. 863–894]. Zwolennicy istotności wyznaczania granicy ubóstwa mogą także – słusznie – zauważyć, że 22 rupie dziennie nawet w Indiach oznaczają nędzne życie, a indyjscy biedacy i ich dzieci – nawet jeśli nie chodzą codziennie głodni – należą do najgorzej odżywionych ludzi na świecie.

### Nierówności dochodów na świecie

Twierdzi się często, że globalizacja zwiększyła poziom nierówności na świecie – że o ile dla bogatych oznacza ona nowe możliwości, o tyle świat biednych zyskał na niej niewiele. Takie zarzuty wydają się brzmieć wiarygodnie. Ci z nas, którzy mają szczęście żyć w Europie czy Ameryce Północnej, mają dostęp do wszystkich korzyści płynących z tego nowego, coraz bardziej połączanego świata. Jednocześnie trudno dostrzec, co dobrego wniosła globalizacja w życie obywateli biednych, zamkniętych krajów o kiepskim poziomie edukacji i ochrony zdrowia.

Ale są też argumenty przeciwne. Globalizacja umożliwiła pracownikom w Azji lepszy niż kiedykolwiek dostęp do rynków krajów bogatych, dzięki czemu mogą oni wykonywać wiele prac, które kiedyś wykonywano tylko w bogatych krajach – i to bez konieczności migracji. Jeśli takie zmiany zachodzą na szerszą skalę, to płace w krajach Azji rosną, podczas gdy płace w Europie i Ameryce spadają, co z kolei prowadzi do zmniejszania się poziomu nierówności na świecie. Właścicielom kapitału globalizacja także stwarza nowe możliwości inwestowania. Zważywszy zaś, że więcej kapitału jest w krajach bogatych niż w biednych, otwarcie świata sprawia, że właściciele kapitału w krajach bogatych stają się bogatsi, a w krajach biednych – biedniejsi. Skoro zaś w krajach bogatych właściciele kapitału bogacą się, a pracownicy stają się biedniejsi,

to nierówności dochodów w tych krajach rosną – podczas gdy w krajach biednych przeciwnie – zmniejszają się (oczywiście nierówności dochodów nie dotyczą tylko różnic między właścicielami kapitału a pracownikami).

Na początku tego rozdziału przedstawiłem dane dowodzące, że średnie dochody w poszczególnych krajach różnią się coraz bardziej, a przynajmniej nie wykazują żadnej tendencji do wyrównywania się. Trzeba jednak dodać, że niektóre z największych krajów świata rozwijają się bardzo szybko, dzięki czemu miliony ludzi żyją dziś w krajach, w których średnie dochody są bliższe sytuacji klasy średniej niż biedoty – i ten proces sprawia, że nierówności w dochodach na całym świecie maleją. Problem polega na tym, że nie jesteśmy w stanie oszacować skali nierówności między ludźmi na całym świecie, korzystając tylko z informacji o średnich dochodach, a ignorując nierówności istniejące wewnątrz poszczególnych krajów. Sam fakt, że średnie dochody Chińczyków czy Hindusów rosną bardzo szybko, nie oznacza jeszcze, że przypływ dobrobytu unosi wszystkie łodzie w Chinach czy Indiach. Albo – wracając do obrazu flag niesionych w paradzie w czasie otwarcia igrzysk olimpijskich – fakt, że „średnia” chińskich i indyjskich flag zbliża się coraz bardziej do środka tłumy, nie oznacza, że **każdy** Chińczyk czy Hindus robi to samo. Bogaci indyjscy przemysłowcy z wielkich miast być może dawno już dogonili czoło parady, zostawiając najbiedniejszych robotników rolnych na szarym końcu – czyli tam, gdzie byli zawsze. Zwiększanie poziomu nierówności wewnątrz poszczególnych krajów – jeśli tylko odbywa się na dostatecznie dużą skalę – może stać się przyczyną tego, że największe kraje szybko ruszają do przodu, a światowy poziom nierówności rośnie.

W rozdziale 5 udokumentowałem wzrost poziomu nierówności w Stanach Zjednoczonych. Choć Stany Zjednoczone to tylko jeden kraj, przynajmniej część czynników, które decydują o tym procesie – takich jak nowe technologie czy globalizacja – muszą działać także gdzie indziej, a przynajmniej w krajach bogatych. W krajach bogatych także są dowody na to, że nie wszyscy skorzystali z nowych możliwości, jakie przyniosła globalizacja. Choć uważam, że nie istnieją stwierdzenia na temat nierówności dochodów, które byłyby prawdziwe w każdym kraju na świecie (może poza

tym, że te nierówności bardzo trudno zmierzyć), to wydaje się pewne, że zwłaszcza w ostatnich latach istnieje ogólny trend w kierunku zwiększania nierówności. Stany Zjednoczone są tu wyjątkowym przykładem, zarówno jeśli chodzi o poziom nierówności, jak i o rozmiary zmian zachodzących pod tym względem w ostatnich czasach (zwłaszcza w kwestii wzrostu górnej granicy dochodów), ale na pewno nie są obecnie jedynym krajem, w którym poziom nierówności dochodów rośnie. W kilku bogatych krajach poziom nierówności, mierzony udziałem górnego 1%, spadał dość znacznie w latach 80. (i – w nieco mniejszym stopniu – przez cały XX w.), toteż notowany w ostatnich latach wzrost nierówności był nie tylko mniejszy niż w Stanach Zjednoczonych, ale także później się rozpoczął.

Chiński wzrost gospodarczy był zróżnicowany geograficznie – miasta rozwijały się znacznie szybciej niż tereny wiejskie. Nierówności między mieszkańcami miast i wsi stanowią motywację do migracji, która pozwala zmniejszać nierówności dochodów – ale migracja w Chinach jest w znacznym stopniu odgórnie ograniczona, toteż ponad sto milionów pracowników, którzy przenieśli się do miast w poszukiwaniu lepszej pracy, zapłaciło za to rozłąką z rodzinami. W Indiach wzrost nierówności jest może mniej wyraźny, ale tu także niektóre regiony – zwłaszcza południe i zachód kraju – radzą sobie lepiej niż inne. Badania dotyczące podatku dochodowego w Chinach i Indiach, będące częścią międzynarodowego projektu badawczego dotyczącego najwyższych dochodów, wykazały, że w obu krajach szybko rośnie udział górnego 1% – choć ciągle stanowi zaledwie połowę (w Indiach) lub jedną trzecią (w Chinach) tego, jaki udział w dochodach ma górny 1% w Stanach Zjednoczonych [Atkinson, Piketty, Saez, 2011, s. 3–71]. Aby jeszcze bardziej skomplikować cały obraz, należy dodać, że istnieją dowody na spadek nierówności dochodów w innych dużych krajach – dotyczy to m.in. dwóch krajów, które tradycyjnie były miejscem dużych nierówności: Argentyny i Brazylii.

Wzrost nierówności dochodów dotknął w ostatnich latach wiele bogatych krajów. W większości krajów na świecie w pierwszej połowie XX w. nastąpił spadek najwyższych dochodów na skutek wojen, inflacji i podatków, które doprowadziły do zmniejszenia się najwyższych majątków. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat



w bogatych krajach anglojęzycznych, takich jak Stany Zjednoczone, nastąpił znaczący wzrost udziałów górnego 1% – ale podobne zjawisko nie wystąpiło w Europie (poza Norwegią) czy w Japonii. Kiedy górny 1% coraz bardziej oddala się od całej reszty, pozostałe 99% zaczyna radzić sobie gorzej, niż sugerowałaby średnia krajowa. Sukces tego 1% wygląda odmiennie w różnych krajach, co oznacza, że rankingi sytuacji ekonomicznej układają się czasami inaczej dla dolnych 99% niż dla całego kraju.

Ciekawe jest porównanie Francji i Stanów Zjednoczonych. Gospodarka francuska rosła w ostatnich latach nieco wolniej niż amerykańska, ale dolne 99% francuskiej populacji doświadczyło większego wzrostu średnich dochodów niż dolne 99% w Stanach Zjednoczonych [ibidem]. Albo, patrząc na to z innej strony, we Francji wszyscy poza 1% najbogatszych radzili sobie lepiej niż wszyscy poza 1% najbogatszych w Stanach Zjednoczonych.

Różnica między światem anglojęzycznym i nieanglojęzycznym wydaje się zrozumiała, jeśli najlepsi anglojęzyczni menedżerowie mogą sprzedawać swoje usługi na światowych rynkach, napędzanych eksplozją najwyższych wynagrodzeń w Stanach Zjednoczonych, znacznie łatwiej niż menedżerowie z Francji, Niemiec czy Japonii. Nieco łagodniejsza interpretacja tego zjawiska głosi, że globalizacja stworzyła ogromny, bogaty rynek anglojęzycznych menedżerów, którzy – jak największe gwiazdy opery czy sportu – żyją dziś w zintegrowanym, kosmopolitycznym klubie dyrektorów generalnych wielkich firm. W tej wersji historii gigantyczne wynagrodzenia w Stanach Zjednoczonych i innych krajach anglojęzycznych są zyskiem wynikającym z wyjątkowego daru, cennego na nowym, globalnym rynku, a nie z faktu, że amerykańscy menedżerowie wypłacają sobie za duże wynagrodzenia i wymuszają podobne działania na całym świecie anglojęzycznym.

Wszystkie kraje bogate stają w obliczu przemian technologicznych i rosnącej konkurencji ze strony krajów biedniejszych. Nie wszystkie przeszły drogę takiego samego wzrostu nierówności dochodów jak Stany Zjednoczone; niektóre, początkowo pozornie odporne na ten trend, w ostatnich czasach także doświadczają wzrostu nierówności – zwłaszcza jeśli chodzi o dochody powyżej średniej. Ta polaryzacja w kwestii pracy i zarobków – kiedy wiele zawodów ze sfery średnich wynagrodzeń zostaje zastąpionych

przez maszyny albo oddanych w outsourcing, podczas gdy wykonawcy nisko płatnych zawodów radzą sobie stosunkowo dobrze – wydaje się powszechna w krajach bogatych [Goos, Manning, Salomons, 2009, s. 58–63]. Polaryzacja, która jest nowym zjawiskiem, ogranicza wzrost nierówności na dolnym krańcu skali dystrybucji dochodów. Inne trendy – takie jak rosnąca liczba samotnych rodziców na dolnym krańcu skali i *power couples* na krańcu górnym – także stają się coraz bardziej powszechne. System podatków i redystrybucji – w Europie funkcjonujący szerzej niż w Stanach Zjednoczonych i bardziej skierowany na ograniczanie nierówności – najwyraźniej nie jest w stanie zapobiec wzrostowi tych nierówności.

Co doświadczenia poszczególnych krajów mówią nam o nierównościach na całym świecie? Czy wzrost nierówności w tych krajach jest dostatecznie duży, aby zneutralizować efekty wzrostu gospodarczego gigantów? Czy skoro średnie dochody w poszczególnych krajach coraz bardziej się różnią, a wewnątrz krajów nierówności są coraz większe, to nie oznacza, że świat jest miejscem coraz większych nierówności?

Tylko na to ostatnie pytanie odpowiedź jest jasna: nie. Poszczególne kraje bardzo różnią się wielkością, a te największe – przynajmniej w ostatnich latach – rozwijają się najszybciej, znacznie szybciej niż średnia światowa. Kiedy przyglądamy się pojedynczym krajom, postrzegamy te najmniejsze, takie jak Gwinea Bissau, mająca 1,5 miliona mieszkańców, tak samo jak największe – choćby Indie z populacją przekraczającą miliard. Fakt, że Gwinea Bissau (i wiele innych małych krajów afrykańskich) nie rozwija się szybko, jest powodem, dla którego rosną nierówności między krajami, ale na tej podstawie nie możemy nic powiedzieć o temat wzrostu nierówności między ludźmi.

Jaki wpływ na nierówności na świecie mają zaś nierówności wewnątrz poszczególnych krajów? Są one oczywiście istotne – zwłaszcza te w górnej części skali dystrybucji dochodów – ale nie grają roli głównej, ponieważ większość światowych nierówności wynika z różnic między krajami, a nie wewnątrz nich. Wracamy więc do tematu największych krajów – zwłaszcza Chin i Indii – i tego, jak szybko rosną one w porównaniu z resztą świata. Wystarczająco szybki wzrost – nawet jeśli powiększa wewnętrzne



nierówności, zwłaszcza w Chinach – powinien zredukować poziom nierówności na świecie, w każdym razie dopóki Chiny pozostają biedniejsze od światowej średniej. Ostrożne szacunki, uwzględniające wszystkie dane, sugerują, że tak rzeczywiście jest i że – niezależnie od rosnących nierówności między krajami i wewnątrz nich – poziom nierówności na całym świecie pozostaje stały lub powoli spada [Milanovic, 2007]. Może to być prawda, choć nie możemy być tego zupełnie pewni. Chodzi o to, że nie mamy pewności co do prawdziwego tempa wzrostu Chin i Indii – nie wiemy, czy jest ono tak duże, jak podają oficjalne statystyki tych krajów – a tę niepewność wzmacniają jeszcze trudności w porównaniach tych dwóch gospodarek z resztą świata.

Na koniec musimy zadać sobie pytanie, czy w ogóle powinniśmy przejmować się nierównościami na świecie, a jeśli tak – to dlaczego. Nierówności wewnątrz poszczególnych krajów mówią nam coś o sprawiedliwości: o tym, czy wszyscy obywatele danego kraju – którzy, czy im się to podoba, czy nie, muszą płacić podatki i przestrzegać prawa – otrzymują rozsądną nagrodę za wypełnianie zobowiązań. Filozof, Ronald Dworkin, napisał: „Społeczność polityczna, która sprawuje władzę nad swoimi obywatelami, wymagając od nich lojalności i przestrzegania obowiązujących praw, musi traktować ich wszystkich bezstronnie i obiektywnie” [Dworkin, 2000, cyt. za: Nagel, 2005, s. 113–147]. Co prawda różni ludzie prezentują różne poglądy na temat tego, jak sprawiedliwość przekłada się na dystrybucję dochodów i czy rosnące nierówności w Stanach Zjednoczonych same w sobie są niesprawiedliwe, niemniej jednak jednym z głównych tematów dyskusji o nierównościach dochodów w Stanach Zjednoczonych jest pytanie, czy coś powinno się w tej sprawie zrobić, a jeśli tak, to co.

Sytuacja międzynarodowa przedstawia się zupełnie inaczej. Nie ma żadnego rządu światowego, któremu ludzie winni są lojalność albo który miałby możliwość zajęcia się kwestią nierówności na świecie, nawet jeśli postrzega się je jako niesprawiedliwe. Pomiar tych nierówności nie wspierają polityki międzynarodowej w taki sposób, jak wspierają politykę wewnętrzną w poszczególnych krajach. Nie ma żadnych oficjalnych statystyk dotyczących poziomu nierówności między ludźmi na świecie – i być może należałoby pozostawić ten temat naukowcom.

Są jednak także argumenty przeciwne. Nie ma, co prawda, światowego rządu, ale istnieją światowe instytucje – takie jak Światowa Organizacja Handlu czy Bank Światowy – których polityka wpływa na dochody ludzi w wielu krajach, a ich działania wystarczająco przypominają działania państw, aby mogły wspierać próby dochodzenia sprawiedliwości przez tych, na których życie wpływają. Żadna z tych organizacji nie ma władzy ani możliwości wprowadzenia globalnego systemu podatków i redystrybucji, ale ich ogromny potencjał czynienia dobra lub zła powinien być wystarczającym argumentem za tym, aby przynajmniej monitorowały dystrybucję dochodu na świecie. Świat nie jest jednością – ale nie jest także grupą odizolowanych od siebie państw, które w żaden sposób na siebie nie oddziałują.